



THE NEW YORK

LIBRARY

ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION



21

1000
maszki

1870

DWIE EPOKI MEGO ŻYCIA

PRZEZ

MŁODĄ POLKĘ.

(Dembinska Helene)



KRAKÓW

W DRUKARNI STANISŁAWA GIESZKOWSKIEGO
1841.

Dąbki

1810

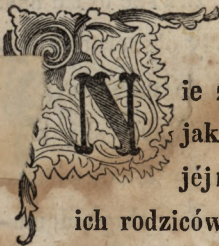
pozwoleniem Cenzury Rządowej.



197133

I.

Zasławice.



ie zapamiętam siebie inaczej jak u mojej babki matki mojej matki. Niepamiętałam moich rodziców, słyszałam tylko że mój ojciec zginął w bitwie pod Smoleńskiem, a moja matka umarła bardzo młodo. Cho- wałam się u mojej babki, która mieszkała zawsze niedaleko Lublina, w dobrach swoich Zasławicach gdzie nikt nigdy nieprzyjeżdżał oprócz dzierżawców wiosek i pani Jabłonowskiej z synem. Nic nieprzesadzam powiadając, że nikt nie przyjeżdżał do Za-

sławic, bo nigdy nikogo a nikogo u nas nie bywało. Moja babka zajmowała cały dół dużego pałacu; jak mówię o niej to i o sobie, bo ja zawsze w tym samym pokoju spałam co ona. Na górze, bo pałac był o jedném pięttrze, była z jednéj strony biblioteka, na drugiej mieszkał pan Jaśkiewicz doktor bardzo stary, który zawsze był u nas. Po obu stronach pałacu były obszerne oficyny: w tej po prawej stronie mieszkał pan Mignard i pan pułkownik Szlubowski, których ja także zapamiętam w Zaslawicach. W drugiej oficynie była cała usługa domowa, kuchnie, szpiżarnie, pralnia. Pan Mignard jeszcze starszy od pana Jaśkiewicza, trudnił się ogrodem, który był prześliczny; na wiosnę i na jesień cały dzień siedział w ogrodzie, rysował plany, naradzał się z ogrodnikiem, dysponował, odznaczał klomby i ulice, przesadzał, szczepił, obrzynał sam drzewa, sadił i siał kwiaty, które moja babka

z Wrocławia i Hamburga sprowadzała. Wycinał perspektywy na piękne i rozległe widoki, urządzał spacery na około rzeki i stawu w ogrodzie, hodował kwiaty w oranżeryi i trebhauzie. Nie było wolno nigdy urwać kwiatka, ale prześliczne bukiety złożone z kwiatów rzadkich, które w doniczkach z oranżeryi przynoszono, stały zawsze w dużych porcelanowych wazonach na stolikach pomiędzy oknami w bawialnym pokoju. — Cztery wioski z klucza Zasławieckiego były w dzierżawie: dzierżawcy przyjeżdżali najregularniej w dzień S. Jana z pieniędzmi. Pan Pułkownik Szlubowski przynosił kwity już napisane, a moja babka odbierała pieniądze i podpisywała; wioski były wypuszczone za mniejszą cenę, jak ta którą sami ofiarowali dzierżawcy z tym warunkiem, aby się regularnie wypłacali, jeden tylko wyszedł z dzierżawy, a to dla tego, że po stryju dziedzictwo na niego spadło, ten który po

nim wziął wioskę, objechawszy ją z panem Szlubowskim przyszedł potem do bawialnego pokoju i powiedział, że ofiaruje siedm tysięcy. »To mi asan będziesz płacił sześć, »ale w dzień świętego Jana muszę już mieć »pieniądze,» powiedziała mu moja babka. Wielkie też to było szczęście dla którego z dzierżawców, kiedy czasem raz lub dwa razy przez lato jeździliśmy do nich na kawę. Jeżeli wszystko oznaczało piękny czas na dzień następujący, pan Szlubowski pisał kartkę oznajmującą nas: Niewiedzieli jak nas przyjmować, sień wybita była kocami, dywanami, stoły zastawione wszystkiemi specyałami, które tylko wymyśleć mogli; a państwo dzierżawcy córki ich i synowie na wyścigi mojej babce i mnie dogadzali i usługiwali. Moja babka tak w mniejszych jak w większych rzeczach wszędzie spokojności szukała, i tak gdy nadchodziło Boże Narodzenie lub Wielka-

noc, albo przed ostatkami wysyłała starego kamerdynera Antoniego do Warszawy po ciasta, i cukierki, chociaż kucharz bardzo był dobry i drogi, wszystkiego pełno w spiżarni i apteczce, tak nie lubiła żeby najmniejszy był nieporządek, i żeby się nie przerywały codzienne zwyczaje że nie pozwalała ciast piec w domu; była bardzo liściwa i dobroczynna, co rok kazała w Lublinie naszyć koszul i sukien, nakupić kożuchów i butów i te rozdawała pomiędzy ubogich, oprócz tego co niedziela gotowano smaczny obiad dla dwudziestu czterech żebraków. Założyła szpital w Zasławicach na dwunastu chorych, była tam zaraz apteka, kuchnia i posługa dla nich. Pan Jaśkiewicz codziennie ten szpital odwiedzał, i w niemi dawał posłuchanie chorym ze wsi, którzy do niego przychodzili, ale moja babka raz tylko lub dwa razy do roku do szpitalu jeździła, i nigdy nie widziała chłopca, nie znała

wcale Zaslawic, bo nigdy nie wychodziła z pałacu, czasem tylko kiedy czas był bardzo piękny przechadzała się po ogrodzie w szpalerach, i ulicach, albo na około kwiatów, lub czasem bardzo rzadko wyjeżdżała na spacer. Gdyby nie na spacerach, na które codziennie chodziłam z Budzińską starą panną służącą mojej babki, a później z panną Zółtowską moją guwernantką, mieszkając całe życie na wsi, nie byłabym wiedziała jaką postać mają chłopi.

Ja byłam bardzo szczęśliwa. — O! prawdziwie zupełnie szczęśliwa. Moja babka mnie kochała, kochała mnie jedynie, zupełnie, całkowicie. Rozumiałam to i czułam z rozkoszą, jakie źródło niewyczerpane miłości posiadam w jej sercu, czułam że ta miłość jej dla mnie jest mocniejsza i większa jak ją pojmuję. Była cała zupełna dla mnie nie słyszałam nigdy słów: »daj mi pokój« albo »nie mam czasu« albo »nie przeszk-

dzaj bo mam dużo zatrudnienia « zostawując mnie sobie, jak mi tego było potrzeba, była zawsze dla mnie gotowa, nie zbywała mnie nigdy próżną odpowiedzią. Kiedy co czytając pytałam się jej o wytłómaczenie, gdy czasem trudno było zbliżyć to do mnie, długo myślała, aby mi w krótkich słowach to wytłómaczyć, abym jasno zrozumiała i znudzona nie była. Słuchała nie z cierpliwością, ale z prawdziwem ukontentowaniem opowiadania dzieciennych marzeń moich. Miałam dużo zabawek, dużo książek dla dzieci, bawiłam się, czytałam zawsze przy niej, łóżko moje stało obok jej łóżka, moja babka sama prawie mnie ubierała i rozbierała, zawsze przy mnie stała, kiedym się kładła, co wieczór usypiając, oczy moje ją widziały błogosławiącą mnie. Tak znała moje zabawy, zabawki jak ja sama, zawsze tuż przy niej siedziałam, życie moje płynęło w jej życiu zupełnie razem, zataić co przed nią byłoby

nieszczęściem dla mnie, raz tylko mi się to zdarzyło, i całą noc o to płakałam; bo wracając w wieczór ze spaceru przez przedpokój spostrzegłam stłuczoną filiżankę w której z rana kawę pijała, a stary kredencierz Michał prosił, abym do jutra nic o tém pani nie mówiła. O słodkie uczucie! rozkoszne oddanie się zupełne istocie którą nad życie kochamy! Z czego dla mnie wynikała niewinność myśli, ufność zupełna jak ufność do nieba, wiara w to wszystko co dobre, wiara do ludzi, do całego świata, dobre życzliwe uczucie dla każdego, lubie zaspokojenie serca i duszy.

Moja babka nigdy nie była wesoła, nigdy się nie śmiała, była zawsze seryjo, zawsze smutna, spokojna, łagodna. Widzę ją jak siedziała na zielonéj kanapie w sypialnym pokoju z książką, a ja przy niej na małym stołeczku z książką, z lalką, z robotą, albo z mojami zabawkami, widzę ją jak zawsze

chodziła w muszlinowym haftowanym czepeczku zeszytym przez środek, z falbanką ptyfeniową, lub koronkową w czarnym mantynowym szlafroczku zupełnie gładkim bez żadnego fałdu, i w dużym szalu karmazynowym w drobne palmeczki. Czy zima czy lato zawsze tak samo ubraną była, bo w zimie nie wychodziła nigdy z pałacu nawet do kościoła; xiądz Wikary miał w niedzielę mszę w kaplicy, która była za jadalnym pokojem. Była wysoka, wspaniała i poważna, chodziła bardzo pomału, w każdym jej ruchu widać było że potrzebuje spokojności i cichości, miała oczy niebieskie bardzo blade, nadzwyczajnie łagodne i smutne, lekką czerwoność na około, nos zgrabny w środku wygórowany, końcem lekko zadarty, a w ustach podniesionych przy końcu, przy wielkiej słodyczy był wyraz głębokiej dumy, i zamknięcia w sobie, który ostrzał i przybierał cierpkość kiedy z czego

nie była kontenta, ale miękczął, i stawał się nadzwyczajnie miłym, kiedy do mnie mówiła. Jak my tak siedziały, po kilkanaście razy, przerywałam moją zabawę czytanie, lub robotę, żeby najmilszego użyć przejścia, wstawałam rzucałam się na jej szyję i całowałam ją. O jakże czułe! serdeczne odbierałam uściśnienia. Moja babka pierwsze mi nauki dawała sama, nauczyła mnie czytać i pisać po polsku i po francuzku, katechizmu, rachónków, historyi świętej: jak byłam starsza pan Mignard dawał mi codziem godzinę historyi powszechniej i jeografii, i godzinę literatury francuzkiej, Pan Jaśkiewicz godzinę niemieckiego języka, i rachónków. Tak wszyscy regularnie przychodzili jak w mieście metrowie płatni. Moja babka sprowadziła z Warszawy młodą panienkę tylko do polskiego języka, do muzyki, i do robót, i tak z nią postąpiła jak z dzierżawcami. Pani Jabłonowska zgodziła ją w Warszawie za

ośmdziesiąt dukatów. Trzeciego zaraz dnia po jej przyjeździe powiedziała jej moja babcia »moja panienko, nieprzyzwyczajonaś do wsi, będziesz się tutaj nudziła, dam ci sto dukatów, ale też nie odjeżdżaj ani razu do Warszawy, i na spacerach pilnuj mi dobrze Krystynichny» (tak mnie nazywała). Panna Żółtowska była też bardzo kontenta i przywiązała się do nas i do swego miejsca. Była przez trzy lata przy mnie, lubiłam ją, bo była bardzo dobra i bawiła mnie opowiadaniem figlów swoich na pensyi, ale nie mogłam jej kochać bo była bardzo ograniczona i prosta, czułam wyższość moją. Widywałam ją bardzo mało tylko przy lekcjach i na spacerze, byłam cały dzień z moją babką, a ona w swoim pokoju wyszywała sobie pelerynki na tiulu, albo czytała Rynaldo Rynaldyni ulubioną swoją książkę.

W Zasławicach szło wszystko podług zegarka, i ludzie nasi, zawsze ci sami,

wszyscy starzy, niepotrzebowali nigdy ani nagany, ani napominania. Wstawaliśmy o siódmej, piłyśmy kawę w sypialnym pokoju, moja babka, ja, panna Zóltowska i Budzińska. Po kawie do dwunastej odbywały się moje lekcye w pokoju przybocznym od sypialnego, moja babka siedziała na sofie za moim stolkiem, jeżeli bardzo trafnie odpowiedziałam, wstawiała patrzeć się na mnie i twarz jęj oświecona była w tenczas wyrazem radości. O pierwszej przychodziłyśmy do bawialnego pokoju. Już tam zastawaliśmy p. Jaśkiewicza, p. Mignard, i p. Szlubowskiego; kłaniali się mojęj babce w zupełném milczeniu, przy obiedzie nigdy nikt słowa nie przemówił, każdy miał swoje miejsce, ja siedziałam przy mojęj babce, przy mnie panna Zóltowska, potęm pan Szlubowski, pan Mignard, i pan Jaśkiewicz. Służyli nam Antoni kamerdyner, Stanisław i Jan lokaje mojęj babki, oba w liberyi wy-

socy, poważni, mały stary garbaty lokaj pana Jaśkiewicza, młody chłopiec pana Mignard którego sobie wziął za ogrodniczka, i kozak pana Szlubowskiego.

Wszyscy ludzie tak nawykli byli do naszego milczenia, tak go rozumieli, że chodzili na palcach jakby kto był chory. Po obiedzie moja babka siadała w oknie lub wychodziła przed pałac w ogród, potem wracałyśmy do sypialnego pokoju. O szóstej po skończonych wszystkich moich lekcyach przychodziłyśmy znów do bawialnego. Po kawie moja babka grała w szachy z panem Jaśkiewiczem, ja siedziałam przy niej, a pan Mignard z panem Szlubowskim przy drugim końcu stołu: Panna Żółtowska haftowała lub czytała przy drugim małym stoliku w oknie, kolacyą dawano o 9tej, jadalіśmy ją tak jak obiad w zupełném milczeniu. P. Szlubowski nie wracał już wcale do bawialnego pokoju, moja babka do 10tej jeszcze ciągnęła kabałę,

P. Jaśkiewicz chodził pomалу po pokoju, a pan Mignard czytał gazety francuzkie.

Ten bawialny pokój był bardzo duży o czterech wielkich oknach, obity adamaszkiem karmazynowym, wybity dywanem tego samego koloru, firanki do samego dołu spadające materyalne pół białe pół karmazynowe, po obu stronach naprzeciwko siebie stały dwa ogromne podługowate stoły, z ciemniającego machoniu, o sześciu nogach, przed każdym stała tak długa jak ściana kanapa, lakierowana biało z wysoką poręczą wysłaną, wybita również adamaszkiem karmazynowym, a na około także same krzesła. Na tym stole przed którym siadano, stały dwa lichtarze srebrne każdy o dwóch grubych woskowych świecach, a na małym stoliku, przed którym siadywała panna Zóltowska paliły się także dwie świece. Nie było tak dla mnie, bo ja się w nim wychowałam, w nim miałam wszystkich przyjaznych so-

bie, zajętych sobą, w nim miałam tę, którą nad wszystkich kochałam, ale ten pokój miał postać nadzwyczajnie ponurą: wszyscy w nim starzy, smutni, poważni, zdawało się jakby tu grobowa tajemnica panowała, oświecony bardzo w jednym tylko rogu, promienie światła ciemniały stopniowo ku środkowi a w głębi było zupełnie ciemno, odbijał się tylko ogromny portret naturalnej postaci, w dygnitarskim ubiorze Chorążego koronnego, ojca mojej babki, zawieszony nad drugim stołem, na przeciwko tego przed którym my siedzieli. Obicie ścian, posadzki, i sprzętów odbijały smętny połysk swój przy świecach, i cały pokój był powleczoney ciemno karmazynowem światłem.

Moja babka nigdy o przeszłości, o dawnych czasach nie mówiła, wiedziałam tylko że dawniej w Warszawie mieszkała Budzyńska dwa razy do roku, wietrzyła

i trzepała kilkadziesiąt dawnych paradnych sukien, sztuki materyj, prześliczne futra, a złożywszy najstaranniej chowała do dwóch dużych kufrów, które stały w pokoju za sypialnym. Moja babka miała wkomodzie pudełko z koronkami, powiadała mi nieraz gdy patrzała w otwartą szafkę że to pudełko warte trzy tysiące dukatów, otworzyła go raz przy mnie były falbanki szersze i węższe poplamione, widzieć było że je noszono, przeglądając je moja babka kilka razy westchnęła, i twarz jej smętniejsza i poważniejsza była jeszcze jak zwykle; ja się zmięszałam, stałam nie śmiejąc słowa powiedzieć, nagle mi przymierzyła falbankę do twarzy, i popatrzawszy na mnie powiedziała z wesołym uśmiechem »ładnie ci tak» będzie Krystynichno.« Jednego dnia (miałam wtedy 10 lat) jednego dnia było to w Grudniu po obiedzie, zimno było niezmierne, pan J. wrócił ze szpitalu bardzo z ziębnięty, moja

babka najpierw jemu kawę podała »rozgrzejsię prędko Jaśkiewiczzu taki jesteś zziębnięty.« »O! bo też dzisiaj ogromne zimno odpowiedział prędko zacierając ręce, niepamiętam takiego zimna jak w tym roku w którym my wracali z Słucka z panem « zatrzymał się, bo blada twarz mojej babki nagle się zarumieniła, wypila prędko kawę, nie zjadłszy ani kawałeczka bułki i zostawiła dużo w filiżance. Miewałam sobie powierzane klucze od wszystkich szaf i komód: jeden był tylko sekretarz w pokoju, a na niem wysoka szkatułka, na które od najmniejszego dzieciństwa przyzwyczajona byłam patrzeć jak na relikwiarze, nikt w domu tchnąć ich się nie śmiał, lokaj ostrożniej i delikatniej z nich kurz ścierał, a kiedy moja babka sekretarz otworzyła, siedząc przy niem czytała papiery, bawiłam się u niej albo wychodziłam do drugiego pokoju, bo w ten czas jakby milczącą umo-

wą nikt do niej przemówić nie śmiał, a jeśli który z ludzi lub Budzińska interes jaki mieli, i który wszedł do pokoju, obaczywszy że pani przy sekretarzu siedzi, odchodzili natychmiast nie powiedziawszy słowa. Moja babka rzadko bardzo ten sekretarz otwierała, ale potem zawsze mniej jeszcze mówiąca była w wieczór. Raz pamiętam zniosła szkatułkę, postawiła ją na otwartej klapie sekretarza i otworzyła, poszłam do drugiego pokoju, bawiłam się doskonale mojami lalkami i usłyszałam że coś upuściła, ale nie uważałam na to, zawołała mnie, i wskazując palcem na posadzkę pod sekretarz kazała mi podnieść co upadło. Był to mały portrecik młodej osoby, ale poznałam zaraz, że to była moja babka. W grubiej żałobie z woalem trzymała list w ręku, przez ten portrecik przewiercona była dziura, przez nią przewleczony czerwony sznureczek a na niem uwią-

zany szeroki zamykany pierścionek zupełnie gładki. Zmieszałam się bom czuła że i moja babka zmieszana, oddałam jęj portrecik nie śmiąc spojrzeć się na nią, nie powiedziała mi ani słowa, odeszłam do drugiego pokoju, wtedy zamknąwszy i postawiwszy szkatułkę przeszła się kilka razy po pokoju, potem przyszła do mnie i uścisnęła mnie czule.

Moja babka nigdy do nikogo nie pisywała (oprócz do jednęj pani Jabłonowskieję), nigdy żadnych nie odbierała listów, jak dwa razy na tydzień gazety Wileńskie i Warszawskie przychodziły, czytała zawsze kto przyjechał, i często wtedy spuszczała głowę, albo bolesny ale nieznaczny uśmiech był na jęj twarzy. W małym bawialnym pokoju, przez który z dużęgo bawialnego do ogrodu był wychód zawieszzone były portrety moich rodziców, drugięj córki i syna mojęj babki, także mlodo zmarłych. Moja babka nigdy przez ten pokój do ogrodu nie prze-

chodziła, wolała obejść naokoło, ale czasem poszła do tego pokoju, długo w nim sama siedziała, i wtedy nikt tam nie chodził. — Mojej matki portret zasłonięty był firanką zieloną, pan Mignard miał klucz od drzwi do ogrodu, w dzień tamtędy przechodził i zawsze długo się przypatrywał portretom a firankę nad portretem mojej matki odsłaniał. Jakem to spostrzegła i mnie wzięła ochota przypatrywać się tym portretom, w dzień sobie upatrzyłam chwilę, chodziłam do tego pokoju, odsłaniałam firankę i przypatrywałam się mojej matce; była bardzo piękna, miała oczy żywe niepewnego koloru wpadające w zielone, śliczny nosek zadarty, i żywe rumieńce, usta koralowe i nadzwyczajnie wesoły uśmiech na twarzy, gruby warkocz i loki z ślicznych blond włosów. W rękę trzymała nóry, ubrana w białej sukni, niebieski szal obwijał lekką i wysmukłą jej postać. Tak się nauczyłam stawać,

żem jój wejrzenie, jój oczy spotykała, patrzyła się na mnie pełna wesołości życia i szczęścia. W rogu portretu było napisane Teresa hrabina J.... umarła 18 Kwietnia, anielska jój dusza w Bogu spoczywa.

Pan Mignard przechodził raz gdym się przypatrywała, stanął obok mnie, w patrzył się w portret, i mimowolnie z niechcenia wesoły uśmiech ogarnął twarz jego, ale nagle kryjąc ją rękoma zawołał boleśnie »O piękna! piękna była.«

Tak dni dzieciństwa mego schodziły w swobodzie i szczęściu, widziałam wszystkich kochających, przyjaznych sobie, bo dla panienki wszystko każdy robił, panienkę każdy kochał, uważał, przez nią wszystko mógł otrzymać — ja tych wszystkich lubiłam, kochałam, dla każdego serce moje miało przyjemne uczucie.



30m jej wejscie, jej oczy zamknie,
 patrzala sie na niego jak na wroga, w oczach jej
 i ekspozycja. W tym momencie bylo napadnie
 Teresa siedzia... dnia 18 kwietnia
 nielaska jej dusza w Bogu spocznie.
 Tani... przedmiotem jej zycia
 przybywala, stana obok niej, w patrzy
 na w partel, i nimowolnie z zieleznia
 wosly pomiedz ogarnaj twarz jego, ale
 nagie kryje je rekoma znowal polozila
 O piknal piknal byla.
 Tak dni dziedziczenia tego schodzil
 w swobodzie i ekspozycja, widzialam wazne-
 kich kochajacych, przyjaznych sobie, do
 dla ganciel wazytko kady, rodil, panienke
 kady kochal, wazal, przez hij wazytko
 mogl umrze - ja tych wazytkich lodi-
 tam, kochalam, dla kazege serce moje
 dano przyjaciu umnie.



2
1917

III.

Pani Jabłonowska — Juliusz.

Powiedziałam że w Zaslavicach nikt nie bywał oprócz tylko jednej pani Jabłonowskiej. Regularnie 24 Lipca przychodził do mojej babki pokoju o piątej po obiedzie (ja zawsze wtedy skakałam z radości) Marcin nasz stangret, nie po dyspozycją, bo moja babka nigdy sama nic nie dysponowała, ale żeby wziąć rubla dla siebie bo nazajutrz jak świtanie wyjeżdżał do Warszawy po panią Jabłonowską. Pani Jabłonowska przepędzała co rok wakacje w Zaslavicach z synkiem swoim Juliuszkiem o cztery

lata odemnie starszym. Przyjeżdżała 1 Sierpnia, odjeżdżała 1 Października. Była to najlepsza najserdeczniejsza mojej babki przyjaciółka, moja babka powiadała mi to często i z wzruszeniem, a ja od najmniejszego dzieciństwa z pierwszego wrażenia nawykłam patrzeć na panią Jabłonowską ze czcią i poważaniem, oprócz tego kochałam ją serdecznie, i kochałam Juliuszka. Jój przybycie nie zmieniało w niczym zwyczajnego trybu dni naszych ale cały dom w Zaslawicach ubarwiał się miłą wesołością. Słyszałam więc zawsze o pani Jabłonowskiej że pięknego bardzo urodzenia; po śmierci męża została się prawie w niedostatku i poświęciła się zupełnie wychowaniu syna, że mieszkała w Warszawie szczupło, ubogo, aby go lepiej doglądać mogła, ale dla tego i tego sobie odmawiała szczęścia mieszkania z nióm razem, bojąc się aby w ciągłym obcowaniu z matką, z kobietą

nie zmięła dusza jego, oddała go do instytutu Pijarów, odwiedzała co dzień, doglądała pilnie w naukach, a on co dzień przychodził do niej na lekcję francuzkiego i angielskiego języka, posiadała albowiem gruntownie ich naukę. Miała trzy pokoje w bok pana Jaśkiewicza pokoi, umeblowane i zawsze we wszystko opatrzone.

Pani Jabłonowska była o kilkanaście lat młodsza od mojej babki, miała dla niej, dla jej wieku, smutku, kochające pełne czułości i starania, z serca pochodzące uszanowanie. Kochała moją babkę niezmiernie, i lubo pomiędzy nimi żadnej powierzchownej oznaki tajemnicy, zwierzenia się nie było, zaraz można było poznać jak zupełnie rozumie moją babkę, jak ją zna i z nią wszystko dzieli. Starania jej oddawane jakby z niechęcia, były tak tkliwe, tak czułe! tak potrzebne prawdziwie. Niezmiernie lubiłam się na nią patrzeć, i wszyscy w domu tak samo

lubili, bo pani Jabłonowska każdemu musiała się spodobać; twarz jój miła, miała wyraz niezmiernój łagodności, i przytém tak bystrego, i delikatnego rozumu, że na każdym musiała rozkoszne sprawić wrażenie. Słodki uśmiech miała w ustach, szczególnie kiedy do mnie i do Juliuszka mówiła. Była nieco ułomna, a w każdym jój ruchu była przyjemność i zgrabność zachwycająca, wrodzone w niój, o której nie wiedziała nigdy ani myślała. Chodziła zawsze w cienkiej salopce, w czarnych albo białych szlafroczkach bardzo prosto i skromnie, jak w całej postaci, tak i w ubiorze nie dbała, nie myślała wcale o sobie, a dla tego wszystko co nosiła, miało cechę dobrego tonu i wytwornego smaku. Głęboko uczona, niepospolicie rozumna, wszystko wiedziała, na wszystko odpowiedzieć umiała, a obejście jój, sposób mówienia z każdym był miły, łagodny i pełen dobroci. Cienia próżności, dумы samolubstwa

nie miała, każdego sercu dogodzić, każdego uszczęśliwićby była rada. Głos jój był taki miły, że gdy co opowiadała, mimowolnie stałam po godzinach przy niej, coś tak miłego trwało że od tego nie można się było oderwać, a jak mówić przestawała, żal, tęsknota że tego już niema, ogarniały. W kilka dni po jój przyjeździe moja babka miała mi zawsze coś nowego opowiedzieć o Juliuszku, a ja to bardzo słuchać lubiłam, i tak powiadała mi, że jój pani Jabłonowska w wielkim sekrecie powiedziała, że Juliuszek się tak doskonale uczy i prowadzi, że pomiędzy 600 uczniami na examinie otrzymał nagrodę, że professorowie xięża Pijarzy przejęci dla niego najwyższym szacunkiem, wysłali kilku z grona swego aby powinszować matce takiego syna, że współtowarzysze tak go kochają pomimo wyższości jego, że na jego imieniny wiedząc czém mu przyjemność spra-

wią; kazali wymalować jego portret i ofiarowali go matce z tym napisem: »*Najgodniejszy z nas*,« że na wystawie sztuk pięknych obrazy jego za najdoskonalsze powszechnie uznane były, że kąpiąc się w Wiśle uratował życie tonącemu synowi ubogiej wyrobnicy, z narażeniem własnego. Słuchałam tych słów z taką radością, z taką roskoszą, że moja babka mi je co dzień powtarzać musiała. Pani Jabłonowska i Juliuszek przychodzili do nas na kawę, ale Juliuszek już był po pracy, wstawał bardzo rano uczył się, malował u siebie, aby potem dłużej być ze mną, po śniadaniu odchodzili do siebie, a o jedenastej (ta była w dniach naszych różnica) moja babka w dzień chodziła do pani Jabłonowskiej, bawiła u niej aż do obiadu, i w ten czas nikomu nam przysć nie było wolno. Po obiedzie pani Jabłonowska haftowała lub szła z nami do naszych pokoi, czytała w tym pokoju gdzie ja lekcje

miałam, a w wieczór, siedziała przy mojej babce z swoją robotą, albo grała z nią w szachy, lub ciągnęła kabałę.

Juliuszek zaś wstawał bardzo rano jak już powiedziałam, żeby być dłużej ze mną, i ja to samo wstawałam o godzinę wcześniej żeby wszystkie moje lekcje o jedenastej skończyć, bo kiedy moja babka szła do jego matki on przychodził do mnie. Taka byłam szczęśliwa jak jedenasta wybiła, tak nam rokosznie było razem się bawić. — Nielubiliśmy żeby kto był przy nas i moja babka pozwoliła, żeby nikt starszy nie patrzył na nas, bo Juliuszek tak mnie pilnował, że mi się nic złego stać nie mogło. Przeprowadzał mnie ostrożnie przez wązki i wysoki mostek, który był nad rzeczką w ogrodzie, prznosił mnie przez płot kiedy my z ogrodu na łąkę iść chcieli, trzymał mnie pod rękę jak my na około stawu chodzili, nigdy mi nie pozwolił iść przy wo-

dzie ale sam szedł a mnie po drugiej stronie prowadził, goniliśmy się po ogrodzie, chowali, kryli, łowiliśmy rybki wędkami które przywoził z Warszawy, a w ten czas zawsze mnie za suknię trzymał, kopaliśmy w naszych ogródkach, które ja przez cały rok zaniedbywałam, bo bez niego tak mi smutno było bawić się w ogrodzie, żem nigdy tam nie zajrzała, a jak my się zmęczyli, siadaliśmy razem w ślicznym miejscu, które Juliuszek wynalazł dla mnie w ogrodzie. Był to zielony trawniczek pod cieniem dużego bzu i rozłożystej akacyj; jak więc my się już dosyć nabiegali, Juliuszek mnie sam zaprowadzał stałam czekając na niego, a on biegł do Antoniego do kredensu gdzie miał przygotowane poziomki z cukrem i ze śmietanką, wyglądałam kiedy wróci, wtedy siadaliśmy i jedliśmy razem. Było to miejsce prawie tylko dla nas dwojga, rozłożyste gałęzie akacyj i bzu, spadając aż do ziemi,



osłaniały nas ze wszystkich stron jakby zielonym namiotem, a pomiędzy liśćmi mieliśmy widok na śliczny nasz ogród, na staw, i na krowiarnią, z kąd zawsze piękne nasze krowy w pole wychodziły pomału jedna po drugiej. Jak my zjedli, opierałam się o poduszkę którą Juliuszek o drzewo opierał żeby mi dobrze było, i trzymałam jego rękę, a on mi czytał. Przywoził co rok dla mnie nowe książki z Warszawy; a potem opowiadał mi o Warszawie, o łązienkach, spacerach, ogrodach, nigdy mu nie zazdrościłam że tyle pięknych rzeczy widzi, bo z tą myślą zawsze go słuchałam z jaką on mi opowiadał, że nigdzie nie jest tak miło i dobrze jak w Zasławicach.

Po objedzie Juliuszek w dzień daleko jeździł na koniu, Marcin przyprowadzał mu konia, którego ujeżdżał w sekrecie dla niego, bo tak jak wszyscy inni ludzie w domu kochał niezmiernie Juliuszka. Ju-

liuszek był taki szczerze dobry, żywy, odważny, każdemu z ludzi zawsze coś przywiózł z Warszawy. Co dzień wychodziliśmy wszyscy przed pałac żeby widzieć jak wsiadał na konia. Niewiem kto się więcej cieszył, moja babka pani Jabłowska czy ja, kiedy wysmukły, zgrabny, lekki, wskakiwał od razu na żywego konia którym doskonale kierować umiał, objeżdżał w galopie, kilka razy w koło dziedziniec, przejeżdżając koło pałacu kłaniał się głową każdej z nas, a mnie oprócz ukłonu, ręką znak dawał, potem leciał daleko, a za nim Marcin który śmiał się z radością że mu już nadażyć nie może. Moja babka tak kochała tak szacowała Juliuszka, siodło, munsztuk naumyślnie z Wiednia, dla niego sprowadziła; nie raz widziałam jak twarz jej radośna jaśniała kiedy się pan Jaśkiewicz przypatrywał obrazom jego roboty, albo kiedy pan Mignard mówił z niem

w francuzkiéj literaturze, a potém każdy z nich opowiadał że wiadomości jego, i talent są nadwyczajne na wiek tak młody, nieraz widziałam Łzy w jéj oczach, kiedy w wieczór Juliuszek przychodził z drugiego pokoju, gdzie my się razem bawili i cichuténko, ostrożnie żeby nikt nie widział brał matki rękę i przyciskał ją do serca, albo przynosił jéj stołeczek pod nogi, i niepostrzeżony w nogę ją pocałował. Bo Juliuszek nadwyczajnie matkę kochał, pomiędzy tym co mi moja babka o nim mówiła, opowiadała mi także że pracował, pisał, przepisywał po nocach i zarobił 15 dukat. za które trzymał przez miesiąc doskonałego kucharza dla matki, sam o tém mi nigdy nie mówił, bo czuł zbyt żywo, zbyt mocno, ale tak pomiędzy nami było, że wiedział, iż ja przekonana jestem, iż on matkę swoją więcéj i mocniéj kocha, jak kiedy na świecie syn matkę, że jéj winien wdzię-

czność którą odplacić nigdy nie będzie w stanie. W marzeniach jego, dziecinnych zamysłach na przyszłość które mi powierzał, przebijało przedewszystkiém gorące pragnienie uszczęśliwienia i wzbogacenia matki, przebijało i przywiązanie do mnie.— Wieczór po podwieczorku bawiliśmy się zawsze w drugim pokoju, moja babka i pani Jabłonowska nieraz wstawały, stały we drzwiach i przypatrywały się nam. Pani Jabłonowska przychodziła do nas, siadała pomiędzy nami dwoma, obejmowała mnie ręką, przyciskała do siebie, i opowiadała nam powieści, bo wiedziała jak ja ją słuchać lubię.

Tego szczęścia było dla mnie co rok dwa miesiące aż do mego 14 roku. Wiedziałam oddawna, wiedziałam z boleścią co w tym roku nastąpić musi, i już nie 1go ale 13 Sierpnia przyjechała do Zasławic pani Jabłonowska z Juliuszkiem mającym

już lat 18, przyjechali pożegnać się z nami, bo Juliuszek na trzy lata za granicę wyjeżdżał, a matka jego która od czasu nieszczęść swoich, to jest od 4go roku życia Juliuszka na ten cel zbierała pieniądze, odprowadzała go do Drezdna, tam z nim bawiła przez zimę, potem puszczała go samego do Rzymu i do Paryża, bo jej fundusze nie pozwalały dalej z nim jechać, a sama prosto jechała przez Galicyą na Wołyń, gdzie szczątki męża majątku spodziewała się wydobyć.

Kiedy co rok Juliuszek do Warszawy wracał, czułam zawsze smutek wielki i tęsknotę, długo się przyzwyczaić nie mogłam do jego niebytności, ale miałam tę pewną nadzieję, że za 10 miesięcy znów go zobaczę. Ale teraz nie miałam go widzieć przez trzy lata! Okropna była ta myśl, ta pewność. — Ion był smutny i matka jego. — Nie bawiliśmy się jak zwykle, ja

lekcyj żadnych nie miałam, on nie czytał, nie malował, nie jeździł na koniu, ale cały dzień był przy mnie. Chodziliśmy smutni po ogrodzie, nic nie mówiąc, a czasem Juliuszek opowiadał mi w szczegółach co przez te trzy lata robić zamysła, jak się będzie uczył, jak będzie malował, jaki szczęśliwy że ma listy do najślawniejszych artystów i najpierwszych professorów, jak będzie ich rady zasięgał, jak będzie pod ich okiem pracował, i starał się zasłużyć na łaskę ich i szacunek. Potém dochodził do końca tych trzech lat! Kiedy znów nas zobaczy! Kiedy do Zaslawic przyjedzie! O wtenczas dopiero był szczęśliwy! Sciskał moją rękę.— Tak było w pierwszym tygodniu, ale im się więcej zbliżał dzień jego wyjazdu, a na dwa tygodnie tylko przyjechali, tym był smutniejszy. W końcu już nic nie mówiliśmy, tylko chodziliśmy smutni po ogrodzie trzymając się pod rękę, w wieczór

siedzieliśmy przy sobie, ale razem ze wszystkimi w karmazynowym pokoju.

Jednego wieczora, trzy dni przed wyjazdem, p. Jabłonowska po raz pierwszy przy nas zaczęła mówić mojej babce o interesach swoich, o podróży Juliusza i swojej. Słuchałam tego pilnie z wielką ciężkością na sercu, i tłumiąc łzy które się gwałtownie z oczów moich dobywały, tuliłam się do mojej babki jako do jedynéj istoty która mi w świecie pozostanie, i myślałam z rozpaczą co ja teraz przez Sierpień i Wrzesień będę robiła, jak mi okropnie będzie od dziś dnia za rok, za dwa lata, za trzy! P. Jabłonowska przestała mówić. — Przygotowałam głosu i spytałam jéj się: »Ale za trzy lata, pani wróci na pewno, i przyjedzie pani z Juliuszkiem do Zasławic?«
Wrócę, kochana Krystyneczko, wróciemy jak tylko Juleczek z Paryża przyjedzie a ja z Wołynia, zaraz tu przyjedziemy« i

uściskała mnie z radością. »I w ten czas dłużej tu będą zobaczysz Krystynichno,« rzekła moja babka; spojrzałam się na nią— miała łzy w oczach, ale wesoły uśmiech na twarzy. — Jakieś nadzwyczajne miłe uczucie, szczególna nadzieja wkradła się w serce moje', obiecałam sobie że się będę uczyła pilnie, doskonalila we wszystkiem żeby Juliuszek który się tyle nauczy, lepszą i umiejętniejszą mnie zastał. Sierpień i Wrzesień znośniejszemi być mi się zdały— nie będę się bawiła, nie będę miała waka-cyj, będę się ciągle dla Juliuszka uczyła! Ale truchlałam że ten dzień wyjazdu tak prędko, tak nagle się zbliżał. Nadszedł— Od samego rana nogi podemną drżały, przy śniadaniu wszyscy smutni byli i pomięszani, a jak już powóz zajechał, jak tłumok i kufer przypięto, p. Jabłonowska z wielkim płaczem rzuciła się mojej Babce na szyję, która rzewnie płacząc sciskała ją serdecznie;

wybuchnęło wtedy i moje długo tłumione uczucie — rozplakałam się na głos — ale cóż się ze mną działo kiedy Juliuszek który rękę moją trzymał, puścił ją, poszedł paśdź na kolana przed moją babką, i prosił ją o błogosławiaństwo. — Po kilkakrotnie go sciskała, przyciskała do serca głowę jego, a łzy jój padały na jego włosy, naznaczyła mu palcem krzyżyk na czole, płakałam, serce me rosło słysząc jak go błogosławiła, on spuścił głowę — zanim wstał, pobiegłam do mego sekretarza, dostałam dukata święconego, który mi moja babka w szóstym roku życia mego dała, zdjęłam z szyi medalik Matki Boskiej który zawsze nosiłam, i prosiłam pani Jabłonowskiej żeby się chwilkę jeszcze zatrzymała żebym mu to w rękawiczkę obszyła. Stali wszyscy w około mnie w milczeniu, a ja obszywałam, nawlekłam potem oboje na jedwabny sznureczek, i podałam mu. Za-

wiesił zaraz na szyi, pocałował, przycisnął do serca, wziął moją rękę, całował i płakał. Pani Jabłonowska wzięła mnie w swoje objęcie i sciskała z uniesieniem. Wyszliśmy przed sień, wszyscy ludzie nasi za nami stali, i rzewnie płakali wszyscy — wsiedli do powozu — odjechali. —

Stałam długo przed pałacem, patrzyłam się w osłupieniu jak powóz coraz dalej odjeżdżał, a jak już go widać nie było, rozplakałam się, pobiegłam w rozpacz do pokoju pani Jabłonowskiej, obchodziłam wszystkie meble, i rozrzucałam je po pokojach. — »Można je rozrzucać można, mówiłam sama do siebie na cały głos, dosyć będzie czasu je ułożyć!« Pierwszy raz widziałam moją babkę rzewnie cały dzień płaczącą. Tęsknota, ponurość i smutek, ogarnęły więcęj jak kiedykolwiek całe Zaslawice.

III.

Powrót — Wyznanie — Szczęście.

Miałam lat 17. — Moja babka odebrała 30 Marca list od p. Jabłonowskiej z Warszawy, w którym ją o konie prosiła na drugi Kwietnia, to jest że miała przyjechać piątego. — Krzyknęłam z radości, rzuciłam się mojej babce na szyję — skakałam, latałam po całym domu. — Nadszedł piąty. — Od samego rana twarz miałam palącą, nic w usta wziąć nie mogłam, a taka byłam szczęśliwa! Chodziłam nieustannie do pokojów pani Jabłonowskiej, przypatrywałam się jak je uprząтали, ustawiali meble dla

nię i dla Juliusza. Chciałam koniecznie żeby mnie Juliusz ładną zastał, podobała mi się niezmiernie moja matka, ubrałam się więc jak ją widziałam, włożyłam białą sukienkę i niebieski szalik. Po obiedzie, patrzyłam co chwila przez okno, usłyszałam trzask z bicza, zobaczyłam powóz — wtedy poszłam w odległy kąt pokoju, serce mi biło gwałtownie, nogi tak drżały żem stać nie mogła. — Moja babka, pan Mignard, pan Jaśkiewicz, pan Szlubowski, Budzińska, ludzie wszyscy wyszli przed pałac, ja nie mogłam — nie śmiałam — zostałam się w pokoju — musiałam usiąść. — Weszli, wbiegła najprzód do mnie pani Jabłonowska, rzuciłam się na jej szyję z krzykiem, potem Juliusz wprowadził moją babkę. Łzy były w oczach jego — pocałował mnie w rękę, ukloniłam mu się niziuteńko, ale ściszałam w tej samej chwili rękę matki jego, a oczy moje z trudnością

ły wstrzymywały. Wlepiłam mimowolnie oczy w niego, nic się nie odmienił, ale był piękniejszy, zgrabniejszy i wyższy. Tak mi to miłym było! Nie umiałam wtedy zebrać rysów jego, ale teraz pamiętam jak mi się pokazał. — Pamiętam jak wysokie czoło jego wyrażało objętość i wyniosłość, mała zmarszczka naniem, głębokość i zastanowienie, twarz cała jakies zapomnienie, niedbanie o siebie, poświęcenie się, entuzjazm, żywą, gorącą i czułą duszę a usta uczucie własnej wartości, dumę na rzeczy poziome złagodzoną, uszlachetnioną przenikliwym wyrazem dużych czarnych oczów, który ci się pytać zdawał czyś wart dumy i pogardy, czyli przyjaźni i szacunku? Po ręce jego widać było że nie jest nieczynna, że zużyta pracą kierowaną rozumem i myślą! Tak jest, myśl przebijała przez palce Juliusza! Poznał się także na mnie i nic nie mówił. Wieczór usiadłam przy jego matce — nie-

miałam odwagi słowa do niego przemówić, siedziałam wyprostowana, odwracałam się od niego, ale przysuwałam się do jego matki, i ścisakałam ją za rękę. — Nazajutrz ledwom wstała, przechodziłam koło okna mignęła mi się postać jego — stanęłam w tym oknie, i zobaczyłam że chodził po ogrodzie, zatrzymywał się na tych miejscach gdzie my się razem bawili, przypatrywał się kwiatkom, obchodził tyle mu znane drzewa. Uczułam się nadzwyczajnie szczęśliwą! Podług dawnego zwyczaju przyszli na kawę do sypialnego pokoju. — Juliusz Jabłonowski przypatrywał się pokojowi z rozrzewnioną twarzą, stanął przy sekretarzu z którego mu dukata dałam, moje oczy ściagały go póki mnie nie widział, ale jak raz spotkał moje wejrzenie odwróciłam się prędko, zaczęłam krajać bułkę przy słoiku, i powiedziałam mu tylko »że już kawa dla p. Jabłonowskiego nala-

na « pani Jabłonowska opowiadała mojej babce szczegóły o dawnych jej znajomych na Wołyniu, moja babka słuchała z zajęciem, a Juliusz i ja milczeliśmy. Wypiwszy kawę, pobawiwszy się łyżeczką, podniósł stolec, wstał cicho i ostrożnie i wyszedł. Ciężko mi się na sercu zrobiło, ale jak tylko go nie było moja babka przerwała mowę pani Jabłonowskiej, i spytała jej: »powiedzże mi teraz o naszym Juliuszku, o całej jego podróży, i o twojej.« Ja się zarumieniłam, i przysunęłam się do p. Jabłonowskiej której twarz zajaśniała nadzwyczajną radością. Zaczęła mówić, poszłam zamknąć drzwi wszystkie na klucz żeby nikt nie przyszedł przeszkodzić. Opowiadała nam jak pierwszą zimę przepędziła z Juliuszem w Dreźnie, jak tam, kto tylko go poznał najwyższym był dla niego przejęty szacunkiem, winszował matce z zapalem, jak go zapraszano wszędzie, a on mało gdzie bywał,

cały dzień pracował, uczył się, malował u siebie, jak na wystawie obrazy jego roboty powszechnie zyskały pochwały, dwór, Drezdno całe schodziło się naumyślnie żeby się im przypatrywać. Potém gdy w wigilią dnia tego kiedy się z niém rozstawała, nie mogła wytrzymać żeby nie wynurzyć niespokojności swojej że go samego puszcza, stary pan Sołtan, na wspomnienie którego moja babka najwyższe wyraziła poważanie, powiedział jój: »takiego młodzieńca, nie tylko że samego puszczać można, ale bym mu straż nad stoma innémi powierzył.« W towarzystwie gdzie był zapraszany, nieśmiały, bardzo mało mówił z początku, ale później coraz więcej się ośmielał, i raz na wieczorze u rodaczki wdał się z nim w rozmowę bardzo sławny jeden uczony, a p. Jabłonowska z panią domu w drugim była pokoju. Ten uczony, znany i szanowany powszechnie professor, nie wiedząc

wcale kto jest p. Jabłonowska, przyszedł do pani domu, i powiedział jej że go prawdziwie zdziwiły światłe pomysły tego młodego Polaka, którego miał szczęście poznania u niej. W Düsseldorf uczęszczał na naukę do sławnego malarza, zrobił u niego portret staruszka, który chciał matce przesłać. Czekał tylko póki nie wyschnie, tymczasem jednego rana przyszedłszy, nie zastaje go i nigdzie znaleźć niemoże. Pokazało się dopiero później że go ukradł starszy dużo od niego uczeń, który się ubiegał o miejsce profesora w innem mieście, i jako dowód talentu obraz ten przedstawił. Z Rzymu przysłał obraz na wystawę do Warszawy, wiele narobił hałasu, dobijano się kto go kupi. Czytała nam listy które dawni jej znajomi z Rzymu i Paryża do niej pisali, pełno były wyrazów nadzwyczajnego szacunku i przyjaźni, na które od wszystkich sobie zasługiwał. Opo-

wiadał nam potem, (i tu mocniej się jeszcze rozrzewniła) jak ją czule kocha, jaki pełen dla niej uszanowania, jak zawsze dręczony myślą, że jej się nigdy wywdzięczyć nie potrafi, jak dopiero z nią czuje się szczęśliwym. Opowiadała nam jeszcze że mu się tak bardzo spieszyło do Zasławic. Drugiego dnia jak przyjechał, prosił ją zaraz usilnie, żeby pisała o konie, wyglądał ich niecierpliwie, a jak przyszły i Marcina zobaczył, zbiegł do niego na ulicę i uściskał go. Serce mi rosło podczas tej mowy, ale jak to powiedziała, zdawało mi się jakby się niebo przedemną otwierało, i z głębokości serca mego, wejrzeniem podziękowałam Bogu!

Dnie mijały. — Mówiłam do pana Jabłonowskiego, jako bardzo młoda nieśmiała panienka, do nowo przybyłego gościa, przy kawie podawałam mu bulkę, przy obiedzie nalewał mi wody. — Zrana pani

Jabłonowska dłużej zawsze od syna bawiła, i zawsze wtedy mówiła o nim. W wieczór siedziałam z spuszczoną głową nad robotą, siadałam zawsze przy pani Jabłonowskiej. Juliusz mało co mówił, był zamysłony, nic nie opowiadał o swojej podróży; jeżeli pan Mignard o Paryż go się pytał, pan Jaśkiewicz o malarzy i Drezno, odpowiadał uprzejmie i grzecznie, ale w bardzo krótkich słowach. Ubierałam się w dzień z wielkiem staraniem: było powiedziane że w szesnastym roku mam zacząć nosić loki, dotąd nie miałam nigdy do tego ochoty, ale teraz układałam je sobie z Budzeńską jak mogłam najładniej. Chodziłam co dzień w białych sukniach i w niebieskich wstążkach, bo mojej matce tak w tém ładnie było, i pamiętałam że dawniej mówił mi Juliusz, że to bardzo lubi. Każde słowo co powiedział chwytalam chciwie; myślałam nieraz z rozkoszą że tak jak ja o nim, tak on o mnie

pewnie cały dzień myśli; czasem znów wymawiałam sobie że tak długo daleko od siebie jesteśmy, i wtenczas przypominałam sobie dzieciune nasze lata, i uśmiechałam się z rozkoszą na myśl że był czas w którym inaczej z sobą byliśmy, i że ten czas koniecznie wrócić się musi. Często znów, napadała mnie i przerażała myśl że może pani Jabłonowskiej wypaść interes, może wyjechać, i ja słowa do niego nie przemówię, ale zaraz w drugą chwilę się uspokajałam; wszak ani mowy o tém nie było, przyjechali z większym jak dawniej pakunkiem, i powtarzałam sobie te słowa: »Zobaczysz Krystynichno, że potem na dłużej przyjadą.«

Jednego dnia przy kawie po obiedzie, moja babka zapytała się Juliusza czyby się nie chciał przejechać konno? Podziękował, jęj całując ją w rękę i wyszedł natychmiast. Od dnia w którym go przez okno

w ogrodzie widziałam, nie śmiałam przechadzać się po ogrodzie, ale teraz kiedy na daleki spacer odjeżdżał, wyszłam prędko, włożyłam kapelusz i poszłam obejrzeć te miejsca gdzie z nim tyle razy chodziłam. Najprzód poszłam zobaczyć nasz bez i akacją, weszłam za te gałęzie teraz więcej jeszcze rozłożyste, ruszałam, wahałam listki i kwiatki, chciałam się uludzić, że to jeszcze te same które Juliusz odkładał żeby mi miejsce zrobić, że ręce jego ich dotykały, patrzałam czy nie widać jeszcze na ziemi malin, poziomek lub kropli śmietanki. Chciałam tym sposobem zbliżyć się do niego. — Stałam tak długo — usłyszałam szelest za sobą — drgnęłam, obróciłam się — i zobaczyłam Juliusza. Uczułam radość, wstyd, i pomieszanie, ale nie miałam czasu chcieć się zimną okazać, bo wziął moją rękę, przycisnął ją kilkanaście razy do ust, do serca, nazwał mnie

jak dawniej »Krystynko!« Patrzałam się już na niego, jak serce tego od tak dawna chciało, szczerze, śmiało, już z całą miłością którą do niego czułam, powiedziałam mu »Juliuszku!« i tą ręką którą trzymał w swoich, ścisnęłam mocno rękę jego, przyciskałam ją do serca. Usiadłam pod drzewami, a on przy mnie jak dawniej, nie mówiliśmy słowa. — Trzymaliśmy jedno drugiego rękę! O rozkoszna chwilo pierwszego wyznania! czyste serce rozpoznanie! taką je napełniające radością!

Juliusz wstał, podniósł mnie, wziął za rękę i zaprowadził do jednego z szpalerów w ogrodzie. »Krystynko!« mówił do mnie Krystynko moja! W radości serca wznosiłam oczy ku Niebu. W Rzymie w Paryżu, wszędzie gdzie byłem, byłem z tą myślą że tam tylko jestem, abym się kształcił, i ciebie był godnym, nie mogłem dotąd mówić o podróży mojej, bo byłbym mó-

wił o tobie, tak wszędzie przeszłość, dzieciństwo nasze i przyszłość którą przeczuwałem, towarzyszyła myślom moim, miała związek ze wszystkimi wrażeniami jakim odbierał!« — Ja mu też powiedziałam że go od dzieciństwa kocham, że mi Zaslawice smutne były po jego wyjeździe, że przez te trzy lata uczyłam się pilnie żeby się jemu milszą wydawać, że były dla mnie lata przygotowawcze, że myśl o nim przewodniczyła wszystkiemu com robiła, że tak szczęśliwą byłam kiedy odebraliśmy list o konie, że nie mogłam mówić do niego dotąd, bo bym się była zdradziła, ale czekałam co dzień na jego wyznanie!« Podziękował Bogu wejrzeniem, a potem mnie tak czule dziękował, brał moją rękę a ja mu drugą na serce kładłam, była to najwymowniejsza odpowiedź, bo tego co czułam niemożęłam wyrazić. — Chodziliśmy tak długo w zupełnym milczeniu. — Obróciłam kroki

nasze ku pałacowi, wprowadziłam Juliusza przez sypialny pokój, tam mu kazałam czekać, a sama pobiegłam do bawialnego pokoju, prosić mojej babki i jego matki. Przyszły za mną — a my nic im nie mówiąc wzięliśmy się za ręce, i rzucili w ich objęcia — »To już tak! to mnie po to wołała moja Krystynichna! zawołała moja babka, i z nadzwyczajną radością przyciskała nas do serca; o Boże zawołała, klękała, o Boże dziękuję Ci! co za szczęście w miłosierdziu! w łasce Twojej zesłałeś! Doprowadź dzieło Twoje do końca, błogosław im! O moje dzieci niech wam Bóg błogosławi! Moja droga! najdawniejsza! najlepsza przyjaciółko, co za szczęście dla nas obydwóch! i rzuciła się na szyję pani Jabłonowskiej, która przez ten cały czas z rozrzewnienia i szczęścia płakała.

Moja babka była tak szczęśliwa! zupełnie się inną stała. Zdawało się po niej

jakby długie, dotkliwe cierpienia, od razu zagojonémi zostały dopełnieniem najgorętszych życzeń, uzupełnieniem jedynéj nadziei dla którój wdzięk jeszcze życie dla niéj miało, zrobiła się wesołą, żartobliwą, śmiejącą. Wprowadziła nas do bawialnego pokoju i przedstawiła panu Jaśkiewiczowi, p. Mignard i panu Szlubowskiemu. — Winszowali jéj i nam wszyscy, śmiała się, teraz inaczej będziemy pisali kontrakty z dzierżawcami Szlubosiu, rzekła do półkownika; kazała sobie opowiadać jak my się spotkali w ogrodzie pod bzem i akacją; gdy pan Jaśkiewicz, pan Mignard i pan Szlubowski odeszli jak co dzień o dziesiątej, my po raz pierwszy siedzieli do pierwszej w nocy. — Dopiero w tenczas się dowiedziałam z jakim staraniem z jaką troskliwością od kolebki mojej o mnie myślała! Rozgadała się tak wesoło. »Juliuszek, to jest wy oboje moje dzieci od przyszłego S. Jana weź-

miecie wioski które są w dzierżawie, mnie nic przez to nie ubędzie, bo pieniądze z dzierżawy zawsze odkładam na wyprawę dla Krystynichny! O jaką też będzieź miała wyprawę! A za to co mam z Zasławic, tu ścisnęła rękę pani Jabłonowskiej, my obie stare matki będziemy zawsze razem, i będziemy się patrzyły na szczęście tych drogich dzieci! Umebluję, urządzę wam zwierzyniec! Wy oboje lubicie zwierzyniec (był to pałacyk w jednej z wsi zadzierżawionych w śród lasu, bardzo ładny, ale i nieco spustoszały) sprowadzę wam mebelki z Warszawy, ładniejsze, modniejsze jak stare moje graty. O jaki będziecie mieli apartamencik!« (I pocałowała trzeci palec u ręki). A będziecie nas tam czasem zapraszali, nas stare matki? będziecie nam obiadki dawali? bo śliczne srebra mieć będziecie Krystynichno. Ciekawam też bardzo Juliuszka gospodarzem, ale cóż, na ten rok musi być

tylko dobrym mężem i malarzem, bo nie można tak zaraz poczciwym dzierżawcom wsi odbierać, nie prawda moje dzieci? O błogosławią wam oni! Ja im zawsze za mniej wypuszczała wsie, jak sami mi dawali, na waszę intencją!« O anielskie serce, duszo kochająca i wylana, pierwszy raz zupełnie ją szczęśliwą widziałam, pierwszy raz wesołą! w ten czas gdy o moje szczęście spokojną była.

Nazajutrz zawiozła nas do Zwierzyńca gdzie od dnia tego murarze pracować zaczęli. Ogrodnik sam się przeniósł i podług planów pana Mignard, zakładał nam ogród i wycinał ulice na wszystkie strony w pięknym lasku. Cały dom w Zasławicach pełen był ruchu i wesołości. Pan pułkownik Szlubowski, wyjechał skupować konie, obstalować powozy i srebra w Warszawie, a moja babka po całych dniach prawie wydobywała z kufców, płótna, batysty, materye, futra, radość jej oglądając te rzeczy

kosztowne prześliczne, które od tyłu lat zbierała i przygotowywała dla mnie, było zupełnie dziecinną radością! Zrzucała z siebie te smętność, ten łagodny smutek, ten wyraz twarzy poważny i seryo, szczęście i wesołość malowały się na niej. Szczególniej mi przymierzała czepeczki ranne, kazała Budzińskiej na rozmaite sposoby obrzynać je i przystrajać, żeby koniecznie wiedzieć w jakim mi najwięcej do twarzy — bo z rana jest praca mówiła mi, a trzeba żebyś przy pracy najmilszą była mężowi.— Całowałam jej ręce, ściszałam jej szyję za takie słowa. Dzień każdy nowe mi szczęście przynosił, odkrywał mi roszkos nową. Kochałam Juliusza namiętnie, kochałam go nad życie, widziałam na mojej babce, na jego matce zadowolenie z mojej miłości, widziałam ich szczęście pochodzące z tego właśnie co mojem szczęściem było. Całe prawie rano mówiły o nas między

sobą, naradzały się nad naszymi interesami, nad moją wyprawą, a my z Juliuszem siedzieli w gabinecie gdzie kwiatki były, i tam mi czytał lub mówiliśmy. Więcej mi czytywał, bo mówić czasem taką było dla nas przyjemnością, żem nie chciała tego szczęścia cały dzień używać.

Prawdę mi powiedział, bo on zawsze prawdę mówił, uważałam z radością że tak jak byliśmy pierwój z sobą, nie mógłby był nic opowiadać, bo z myślami, z wrażeniami które wszędzie odbierał, ja, dzieciństwo nasze, dawne zabawy i zwyczaje, tak ścisły związek miały, że zawsze do tych czasów miał co przytoczyć. Po kawie, po obiedzie wyjeżdżaliśmy wszyscy razem na spacer, ale częściej Juliusz i ja wychodziliśmy piechotą. Znaleźliśmy sobie przez płotki i ścieżki wązkie, daleko bliższą do Zwierzyńca drogę. — To był cel naszych spacerów. Juliusz zawsze mnie

pod rękę trzymał, byłam bardzo bojaźliwa wiedział to od dzieciństwa naszego, a teraz tak rada temu byłam, bo gdyśmy przez wązką kładkę przechodzili, trzymał mnie, a jam się na nim opierała, ja u niego opieki szukałam. Gdy wieczór chłodny się już robił, o niewinna i rozkoszna poufałości! Juliusz obtulał mnie i obwijał chustką, którą niósł dla mnie. Patrzaliśmy się z radością jak codzień więcej postępowała robota murarzy! jak codzień inne urządzały się pokoje, gdzie razem mieszkać będziemy! jednego dnia po obiedzie opisywał nam Juliusz gondole na Adryatyckim kanale, powiedziałam, że musi to być bardzo przyjemnie po wodzie pływać, a nigdy jeszcze nieużywałam tej przyjemności choć Wisła płynęła przez Zaslawice; bo moja babka dawniej się tego bała. Juliusz nic na to nie odpowiedział, ale przez cały wieczór był zamyślony. W kilka ty-

godni potem 24 Lipca przypadały moje imieniny, winszował mi z rana, darował mi sznurek korali rzymskich, ale przez cały dzień niespokojny był i niecierpliwy, w wieczór pojechaliśmy na spacer. Siedział na przodzie przy mnie, wyglądał co chwila z powozu i mocniej jak kiedy ścisnął moją rękę. Moja babka i pani Jabłonowska się uśmiechały. Marcin choć mu nikt nic nie mówił stanął przed Wisłą. Juliusz wyskoczył z koczka, nie czekając na moją babkę i swoją matkę, wysadził mnie i zaprowadził do brzegu. Jakież było zadziwienie moje i szczęście gdym zobaczyła śliczną gondolkę z żaglami niebieskimi i białymi, na których cyfra moja była wybita, malowanie było niebieskie. — Wprowadził mnie do niej; wybita była cała w środku żółtym sukniem, na około obłożona małymi sofkami jak ottomany tureckie wysłane wygodnie, obszyte frandzlą. Przy-

szła moja babka i jego matka — siedliśmy, gondalka odpłynęła, i w tej samej chwili niespodzianie, usłyszałam muzykę anielską. Kilka instrumentów różnych grały z największym czuciem ulubiony mój kawałek: ostatnią myśl Webera — potem tak tkliwe i miłe Straussa walce, zdawało mi się że przeniesiona do mieszkania aniołów; trzymałam rękę Juliusza i patrzyłam się na niego, łzy moje, łzy uniesienia i szczęścia mu dziękowały.

Gdyśmy wrócili do domu, moja babka mi opowiadała z jakim staraniem i radością dla mnie tę gondolkę budował, sprowadził stolarza z Lublina, plan sam rysował po nocach żebym spostrzedz tego nie mogła, zmieniał po kilka razy żeby koniecznie jak najładniejsza była, a potem z Warszawy trzech niemieckich muzykantów sprowadził. Słuchałam tego z zachwyceniem, patrzyłam się na niego, a on mi się pytał czym kontenta?

Od tego dnia codzień pływaliśmy w gondolce, czasem wszyscy, ale częściej z Juliuszem sami. W ten czas wychodziliśmy wcześniej — Juliusz odsłaniał firankę trzymał mnie silnie jedną ręką, wspierał całą, staliśmy na brzegu gondolki, i przypatrywaliśmy się brzegom wspaniałej Wisły. Słońce już w tedy zawsze zachodziło, odbijało się w wodzie, a kryło pomалу za wspaniałe rozwaliny Janowieckiego zamku, które o podal trochę widać było — patrzaliśmy się na starożytny Kazimierz, na piękne i wesołe Puławy po drugiej stronie leżące, na ładny pałacyk w górze zupełnie naprzeciwko, na te piękne wesołe Wisły brzegi, jakby ogród gęsty, widzieliśmy z daleka zaslawską osadę, sławne zaslawskie wierzby. — Juliusz, który tak dobrze był obeznany z krajem naszym, tak zgłębiał historią jego i tak cenić umiał drogie pamiątki, opowiadał mi z zapałem o

dawniej świetności i wielkości miejsc tych sławnych, i porównywał uczucie swoje gdy pływał po Adryatyckim kanale w włoskiej gondoli, z tym którego doznawał teraz płynąc w gondolce którą dla mnie z taką pracą i radością zbudował, po naszej Wiśle! »Krystynko! mówił do mnie, gdy widział włoskie Niebo, gdy się przysłuchiwał śpiewom gondolierów, w uniesieniu mojem odnosiłem wszystko do rodzinnego kraju, do mojej matki! do Ciebie! do twojej babki, myślałem o was! marzyłem że pomiędzy wami jestem! O cóż za rozkosz kochać kraj swój, w nim mieć życia pamiątki, w nim mieć drogie istoty! wyjechać z niego z myślą, aby mu być użytecznym! Widok na który się patrzymy wspaniała i poważna wisła, która nas razem nosi, taką radością mnie napełnia, tak wysoko duszę moją unosi!« I ścisnął mnie za rękę, i patrzył się w niebo, a moje serce tak rosło, i tak mocno biło.

Moja babka prosiła nas raz z tym uśmiechem wdzięcznym i wesołym który twarz jej teraz rozjaśniał, abyśmy do zwierzyńca nie chodzili dopóki nam wyraźnego pozwolenia nie da: ponieważ dla mnie sekret miała, Juliusz powierzył mi również jeden pierwszy który miałem dla niej, a ten miłym mi był do dotrzymania. Zwierzył mi że obstał do zwierzyńca krzesło, kanapkę, stoliczek i stołeczek pod nogi zupełnie taki jak mojej babki uprzywilejowane, aby u nas była jak u siebie. Gdy to przyszło kazał złożyć w oficynie, a w wieczór w największym sekrecie zamknąwszy się na klucz odpakowaliśmy, odwinęliśmy to wszystko oboje, skoczyłam z radości widząc że zupełnie podobne do tamtych, a potem drugi raz że Juliusz taki szczęśliwy. O niewinna i święta radości! miałaś źródło twoje w najpiękniejszym uczuciu, w tym który Bóg za wstęp do swojej wskazał świątnicy, w przy-

wiązaniu dla téj która dla mnie ojcem i matką była!

Moja babka sprowadziła notaryusza i przed nim sporządziła akt zapisu całego majątku swego na mnie. Niemiała nikogo innego, ale była tak regularna i porządna, tak chciała już wiedzieć że wszystko co posiada mojem będzie, że to koniecznie zrobić musiała. Akt ten odbył się z całą powagą i uroczystością właściwą. Byliśmy wszyscy zgromadzeni w karmazynowym pokoju, a moja babka chciała żeby i starzy jej słudzy przytomnemi byli. Twarz jej taką radością jaśniała gdy notaryusz po mału i wyraźnie wyliczał nazwiska wsi składających dobra, które na moją własność przechodziły, nie mogła wytrzymać, i przy Notaryuszu, uściskała Juliusza i mnie. »Nie prawda, że piękne dobra macie, drogie dzieciaczki, wiem jak będziecie gospodarowali« będziecie sobie wspólnie pomagali,

Juliuszek młody, pracowity, tyle ma myśli; z Krystynichny ogromna będzie gospodyni, nauczy się dużo nowych rzeczy których ja stara babka nierozumiem nawet, nieprawda Maleńko? rzekła do pani Jabłonowskiej, która przez ten cały czas łyzy szczęścia ocierała.

Tego dnia oznaczono dzień ślubu naszego na 15 Stycznia, pani Jabłonowska i Juliusz pierwój jeszcze wyjeżdżali na Wołyń aby interesa zupełnie ukończyć. Smuciłam się że Juliusza przez dwa miesiące nie będę widziała, ale mi moja babka powiadała wesoło »To bardzo dobrze Krystynichno, bo potem tym szczęśliwsza będziesz zawsze go widzieć« i ja znowu szczęśliwą byłam. Na tydzień przed ich odjazdem moja babka nam powiedziała przy śniadaniu: »Teraz drogie dzieci możecie już jechać do Zwierzyńca już wam daję na to pozwolenie, ale same z pierwszą wizytą

was tam zawieziemy« Ubraliśmy się wyszliśmy przed pałac: niewiedziałam ani ja, ani Juliusz, że pan pułkownik Szlubowski w wilią w wieczór przyjechał: zajechała poczwórna karetą zaprzężoną czterema karemi kołmi, i duży kocz, z czterema tęgiemi siwoszami, zaczęliśmy oboje krzyczeć radośnie i skakać, wsiedliśmy naprzód do karety, potem do kocza, i objechaliśmy w wielkiej paradzie dziedziniec w około; potem pojechaliśmy wszyscy do Zwierzyńca.

Tam zdawało nam się żeśmy w jednym z pałaców tysiąca i jednej nocy, albo Alhambry. Zajechaliśmy ulicą wyciętą w perspektywę w lesie przed taras ubrany w drzewa pomarańczowe, cytrynowe, i w prześliczne kwiaty w doniczkach, weszliśmy do pałacu, wprowadziła nas moja babka do pokoju bawialnego który z obiciem karmazynowem, meble miał wszystkie z białego drzewa, sypialny obi-

ty był niebiesko przedzielony na wpół niebieską gazą, za nią były łóżka, sekretarze dla każdego z nas, na których wszystko od kałamarzyka do pulpitu do czytania było szyldkretowe ze złotem, nad mojem zawieszono były pułeczki, na nich poukładane ulubione książki, gotowalnia dla mnie z srebrem i brylantami, a za nią skryte drzwiczki do gabinetu wybitego popielatym sukniem gdzie stało sześć ogromnych szaf orzechowych. Otworzyła je moja babka, napełnione były ułożoną z największym staraniem bielizną, haftami, batystami, rozmaitemi chustkami, włóczkami, oprócz tego był stos koronek, i szale tyf-tykowe.

Juliusz miał zupełnie podobny pokój ze swojej strony, było to bióro jego, naokoło były pułki napełnione książkami, najszacowniejszemi dziełami, kantonierki na papiery prawne i gospodarskie wielki stół

z wszystkim co potrzeba do rysunku i do malowania. W jadalnym pokoju stały duże szafy ze szkłem i srebrem do kredensu.

Ale najmiłszy widok, cel do którego wszystko my odnosili, widok który nas rozkoszą napełniał była moja babka !.... jój oczy, uśmiech, radość, jój zupełne szczęście! wraz z p. Jabłonowską chodziła za nami z pokoju do pokoju, pokazywała nam wszystko, oglądała z nami, patrzyła się na nas, ucałowała nas oboje w oczy, w głowę, w czoło, w twarz, w ręce, przyciskała głowy nasze do serca, a potem rzucała się na krzesło, i powiadała nam: »Dzieci kochane, szczęście syna mego, patrzajcie, szukajcie, może jeszcze coś ładnego wynajdziecie« i odwracała oczy do pani Jabłonowskiej która taka była szczęśliwa! Czuła że ona to szczęście nam sprawia, dając nam Juliuszka, że tak jak ja, i on przyczyną, i celem jest tego wszystkiego.

O! z jaką radością, i łzami uściskała syna kiedy moja babka spostrzegła w bawialnym pokoju wszystko, co Juliusz dla niej obstał. A moja babka siadała ze śmiechem na kanapkę, na krzesło z kolei, opierała nogi na stołeczku, i zamyśliła się, a my milczeli aby jej marzeniu nie przeszkadzać, twarz jej takim szczęściem jaśniała! Widziała że się już gotujemy na szczęście posiadania jej u nas! że wszystko do niej odnosić będziemy!



... a jaké radeby, i jaké radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby
... radeby radeby radeby radeby





IV.

Sldonia.

Miałam liczną rodzinę z mego ojca strony, której nigdy nie znałam, i z którą nigdy żadnej nie miałam styczności. Wypadało jednak naturalnie uwiadomić ją o tak ważnym wypadku, jakim było moje zameęcie. Napisała więc moja babka i mnie napisać kazała do państwa Jerzów J. moich stryjostwa, którzy w Wilnie mieszkali. Odpisali że nabyli dobra o małą milkę od Zasławic odległe, że wkrótce przyjeżdżają objąć te dobra, i że będą mieli przyjemność złożenia w Zasławicach uszanowania swego mojej

babce i poznania mnie. Moja babka przed kilkoma miesiącami tylko bardzo by z tego była niekontenta, ale teraz tak szczęśliwą była, że i tę wiadomość z ukontentowaniem odebrała. Ja zaś niezmiernie moich stryjostwa byłam ciekawa, ale więcej jeszcze mojej siostry ciotecznej, o której teraz dopiero się dowiedziałam, że ją przy sobie mają i że z niemi do Zasławic przyjedzie. Była to córka zmarłej od dawna siostry mego ojca Sidonia xiężniczka O...ska. Cieszyłam się niezmiernie że ją poznam. Moja babka mi powtórzyła kilka razy że moim obowiązkiem będzie bawić ją, i honory domu naszego jój robić. Słuchałam słów tych z wielką radością, potwierdzały własne moje życzenia i chęci. Czekałam niecierpliwie na przybycie Sidonii, układałam sobie zawczasu jak ją bawić będę, jak jój pobyt w Zasławicach uprzyjemnię, jak będzie w Gondolce pływała, prosiłam mojej

babki, i sprowadziła naumyślnie z Warszawy kilka funtów suchych konfitur, żebym miała przysmaczkiem Sidonią częstować. Dopytywałam się mojej babki o nią: musiała mi kilkanaście razy powtórzyć wszystko co o niej wiedziała: że xięstwo O...scy odumarli ją dzieckiem z bardzo miernym majątkiem, że była u dalekiej krewnej w Wilnie: żal mi jój było niezmiernie, myślałam o tém jak ja od niej szczęśliwsza, że mam moją babkę, że mam drogiego Juleczka, że taka jestem bogata, a ona sama bez opieki, bez takiego którego kocha, bo cóż to jest Wuj i Ciotka, którzy sami kilkoro dzieci mają nie mogą nic jój dać, nie mogą jój tak kochać! Cieszyłam się że oboje razem z kochanym moim Juliuszkiem, który ma takie serce anielskie zostaniem opiekunami Sidonii, zostanie się u nas, będziemy ją tak kochać, tak jój dogadzać, słodzić jój niedolą, nagrodzą

jéj się sowicie długie lata cierpienia, potem Juliuszek znajdzie dla niéj anioła podobnego sobie, wydamy ją za mąż, wyposaźemy, i taka szczęśliwa będzie jak my! Powtarzałam te zamiary codzién po kilka razy na dzień mojej babce, pytałam się jéj skwapliwie gdzie będzie lepiej Sidonii czy w Zasławicach, czy w Zwierzyńcu z nami? Moja babka wtenczas patrzyła się na mnie z uśmiechem, i przyciskała mnie do serca. Stała się więc ta rzecz tak nadzwyczajna tak jedyna w Zasławicach, zajechał powóz zupełnie obcy przed pałac, dla ludzi naszych była to rzecz tak osobliwa, i tak jéj byli ciekawi, że gdy usłyszeli trzask z bicza od kamerdynera do stróża, od Budzińskiej do dziewczki kuchennej, wybiegli wszyscy, i więcej śmieli z przed pałacu, mniej śmieli z boku, przypatrywali się zdziwieni gościom. Moja babka znała tylko jednego pana Jerzego, przywitał się z nią

czule, a jęj twarz wzruszenie okazała, ale za chwilę wróciła do siebie i uważałam że się wtedy na mnie z radością spojrziała. Pan Jerzy przedstawił jęj swoją żonę, swoich troje małych dzieci i Sydonią. Przez ten czas rzucałam często na Sydonią oczyma ukradkiem. Moja babka przedstawiła mnie wszystkim po kolei. Państwo Jerzowie mnie uściskali, pan Jerzy przypatrywał mi się długo w milczeniu, widziałam jak z trudnością wstrzymywał rozrzewnienie, jak żonie chciał coś powiedzieć, gdy mnie uściskał słowa nie mógł przemówić, odwrócił się prędko żeby nie spotkać spojrzenia mojej babki, a za chwil kilka zaczął mówić do niej wesolo. Sydonia zaś ukloniła się z wielką gracją, (bo nigdy jeszcze tak pięknego ukłonu nie widziałam) ale nie nisko mojej babce, potem mnie, i powiedziała mi »Bardzo mi przyjemnie żem poznała moją kuzyneczkę« odsunęła się o kilka kroków

i najprzód przymrużywszy oczy, a potem przez lorynetkę patrzała na mnie. Zimno i przykro mi się pierwszy raz w życiu około serca zrobiło, ukloniłam jęj się nisko, i zawstydziłam się sama w sobie, żem się napróżno cieszyła, iż naprzeciwnko nięj pobiegnę i rzucę się w jęj objęcia. — Znalazłam że tak robić nie wypada. — Nie spuszczałam jęj z oka, a jeszcze mi przykrzjęj było że zupełnie obojętnie, z niejakiem wyrazem dumy, i z pewnością weszła sobie przed moją babką do bawialnego pokoju, bez skinienia że za to przeprasza. Moja babka posadziła ją przy mnie przy stole. Jeszcze pełna marzeń moich, przemawiałam do nięj kilkanaście razy. Musiałam jęj dogadzać, przysunęłam do nięj salaterkę z konfiturami, odpowiadała mi kilkoma słowami odwracając się ku mnie na chwilę. — Dziękowała lekkim skinieniem głowy. Obróciła się nareszcie sama do mnie, wi-

dząc że sobie piwa nalewam: »A czy wolno pić kuzyneczce piwo oprócz Niedzieli?« zapytała mi się, i spojrzawszy na mnie z góry opiekuńczym okiem odwróciła się do pana Jaśkiewicza który siedział po drugiej stronie, zagadała pierwsza do niego, i wkrótce wszczęła się pomiędzy nimi rozmowa której nierozumiałam wcale. Sidonia się rumieniła, uśmiechała z przymiśleniem patrząc na niego, to znów spuszczała oczy, słuchała z wielkim upodobaniem i uwagą, kiedy pan Jaśkiewicz mówił, a sama mówiła dobitnie i niezmiernie płynnie. Rozumiałam tylko to, co często powtarzała: »więc i to jeszcze przekonywa o prawdzie co ja utrzymuję, że kobiety nie podlegać, ale rządzić powinny.« Pan Jaśkiewicz mało zwykle mówiący, a przy stole nigdy, tak się zajął że nic nie jadł, brał z półmiska w roztargnieniu przez zwyczaj ale wszystko na talerzu zostawiał, i nie-

uważał, że go lokaj z przedniego bierze. Sidonia nic nie jadła prócz kilku łyżek zupy, robiła ciągle gałeczki z chleba, a ja się na to patrzyłam zdziwiona, bom zawsze od mojej babci słyszała że to bardzo brzydko, ale potem pomyślałam że w tém niema nic tak bardzo złego, i że niewiedzieć dla czego mi to moja babka tak zakazywała, cienkie i białe paluszki Sidonii tak się ładnie wydawały, jak chleb gniotły. Pan Mignard siedzący przy panu Jaśkiewiczu, z początku mięszał się także do rozmowy, później zaś, przestał mówić, ale oparłszy na stole łokieć, a na rękę głowę, co u niego największej uwagi było dowodem, słuchał pilnie nie spuszczać z oka Sidonii. Po obiedzie skłoniła tylko wszystkim razem lekko głowę, a ja co dzień całowałam moją babkę w rękę, i kłaniałam się każdemu z osobna, i nie przerwała wcale mowy do pana Jaśkiewicza, który tak

słuchał pilnie, że po raz pierwszy jak ja tylko zapamiętać mogłam nie pocałował po obiedzie mojej babki w rękę. Wróciwszy do bawialnego pokoju, ruchem pełnym zgrabności, i przyjemności rzuciła się na pierwsze krzesło, które jej pod oczy podpadło, było to mojej babki uprzywilejowane i ulubione. — Krzesło na którym nikt inny nigdy nie siadał, i nikt z miejsca nigdy nie poruszał, a pan Mignard, i pan Jaśkiewicz obok niej stanęli, i żaden tego nie uważał, ja zaś z ściśniętym sercem czułam żebym ją nigdy przestrzedz nie śmiała. Wzięłam stółek, usiadłam przy Sidonii, nie zdarzyła mi się sposobność przemówienia słówka, ale słuchając długo i uważnie doszłam nareszcie, że Sidonia dowodzi panu Jaśkiewiczowi, że kobiety mężczyznom ulegać nie powinny, że zapewne (i tu wyraz szyderstwa i pogardy był na jej twarzy) są biedaczki słabe, łatwowierne, źle prowadzone, pie-

szczone i przyzwyczajone obcem powodować się zdaniem, które się dają wywodzić w pole, ale że teraz liczba ich coraz mniejsza, kobiety zaczynają się poznawać na sobie i własną kierować wolą. Z tego przeszła do wychowania kobiet; szyderskim tonem opisała jak jest niedorzecznie wychowywać kobiety w zaciszu domowém, pod bacznym i opiekuńczym dozorem, daleko od ludzi i świata, że to jest tylko na jej nieszczęście, gdyż takiej niezawodnie zawsze się zdaje, że jak tylko na świat wystąpi, wielką będzie na nim rolę grała, że za późno błąd swój poznaje, kiedy da jej się uczuć pogarda wysmiana, a co na całe życie jej się zostaje, że nigdy w niczem rady sobie dać nie potrafi, a ta która od dzieciństwa pomiędzy obcemi, poznaje zawczasu prawdę i światło, oswojona ze wszystkim, pewną jest siebie, pewną swych zdolności, wszędzie sobie poradzi, a jeżeli

tego potrzeba będzie, potrafi lepiej żyć w zaciszu, a uczyni to z własnego przekonania i woli, będzie więc miała prawdziwą zasługę, bo to tylko cenne co z własnej czynimy woli. Mówiła niezmiernie płynnie, a układ słów jej i każde wyrażenie nosiło cechę wielkiego świata, i elegancyi. Pan Jaśkiewicz podzielał z nią zdanie, myślał długo nim co powiedział, widać było że szuka dowodów, że mu bardzo chodzi o to aby odpowiedzi jego godne były tego co słyszy, a gdy poparł zdanie swoje, Sidonia z nadzwyczajną grzecznością nowemi myślami, dobitnemi i trafnemi wyrażeniami które do przekonania zupełnie trafiały zbijała zupełnie co powiedział. — Nareszcie wstała, ukłoniła się panu Jaśkiewiczowi i p. Mignard z pełnym wdzięku przyjemności uśmiechem, wzięła mnie pod rękę nie patrząc na mnie, i wyprowadziła z sobą z pokoju. Czułam szczególne otrę-

twienie i obcość w sobie, tak mi było jak gdyby część swobody mego umysłu, zupełnego szczęścia i radości którą tak mocno w sobie czułam była odemnie uleciała, jak gdyby mi się co nowego nagle pokazało, co do tyhczas starannie przedemną ukrytém było. Sidonia trzymając mnie pod rękę weszła do drugiego bawialnego pokoju: czułe troskliwe uczucie serca mego ku niéj, ostygło w mém zupełnie, i przemieniło się w obcość i dumę: przedewszystkiem chciałam się koniecznie przed nią z czym pochwalić, i zdało mi się że ją zadziwię pięknością mojej matki. Odsłoniłam firankę z przed jej portretu: to portret mojej matki powiedziałam jej, »prawda jaka piękna!« Patrzałam na nią chciwie, przypatrywała mu się przez lorynetkę: »dosyć odpowiedziała cierpko, ale wyraz oczów nic nie mówi, figura niezgrabna« a potem dodała ciszej jakby sama do siebie »przedziwny

ubiór niebieski z białem, zupełnie jak suberetki!» Niezmiernie mi się przykro zrobiło. Ten portret na który od dzieciństwa z uszanowaniem patrzyłam, i nauczona od wszystkich w domu hołd jego piękności oddawałam, tak mało u niej znaczył! ubiór był suberetki, a Juliuszowi się tak podobał, i ja podług niego się ubierałam, żeby się jemu ładną wydawać! Spojrzawszy przez okno, spytała mi się czy to ogród?, otworzyła drzwi i weszła do ogrodu trzymając mnie ciągle pod rękę. Prowadziłam ją naumyślnie po najpiękniejszych miejscach, koło wody, koło najrzadszych kwiatów, bolało mnie niezmiernie, że ją nic nie uderza, nic nie zadziwia, i owszem ganiła układ ogrodu, zrywała kwiatki, potem je rzucała niedbale. »Podobno w krótkce, rzekła do mnie, jak mnie wieści dochodzą, będę miała Krystynkę panią Jabłonowską?« i patrzyła się na mnie z uszczypliwem i szy-

derskiem uśmiechem. Zarumieniłam się —
Tak jest, ja idę za pana Jabłonowskiego.

I podobno narzeczony mojej kuzynki
pojechał gdzieś ze swoją Mamą? — Czy
tak? gdzie pojechali?

Zarumieniłam się jeszcze bardziej. —
Nigdy mi jeszcze tak przykro nie było. —
»Pani Jabłowska i jej syn pojechali na
Wołyń.«

»O! na Wołyń! podobno bardzo bogaty?« —

»Nie, nie jest bogatym« —

»Nie bogaty! o to szkoda! ale słysza-
łam jak swoją Mamę słucha i kocha! jaki
dobry! jak nigdy nic złego nie zrobił! mó-
wiła Sidonia, schylając się do rwania kwia-
tów że jej twarzy nie mogłam widzieć,
ale słyszałam doskonale szyderski ton z ja-
kim te słowa były powiedziane, nie jej
nie odpowiedziałam, spytałam się samej
siebie. Czy Juliuszek nie dobrze robi, że
swoją Matkę kocha i słucha?

Sława wyprawy naszej kuzynki doszła i do nas, tak ma być wszystko piękne i bogate! wszystkiego tak pełno!« Te słowa powiedziane były szydersko emfatycznym tonem. Taki pałac! tyle szalów tyfitykowych! takie srebra! takie kosztowności!

»Nic tam niema tak nadzwyczajnego, do prawdy« i w tej chwili wymówiłam sobie ostro że się wstydzę i zapieram że mam tyle pięknych rzeczy od mojej babki.

O! (tym samym tonem) To tylko zbyt uczona skromność kuzyneczki, — ja wiem — ja wiem wszystko, wszędzie tak mówią, i mnie nawet mój mały palec o tém powiedział. Jakże też to za to musi kochać ten pan Jabłonowski! O!«

Nie mogłam nic odpowiedzieć, po raz pierwszy w życiu czułam jakieś ubóstwo, niemożność, ciemnotę, nieszczęście, i nadzwyczajnie mnie to smutną czyniło.

»Słyszeliśmy także o gondolce arcypię-

knój! która ma przechodzić w doskonałości gondole w Wenecyi, i ma być ósmym cudem świata!«

Stłumiłam głębokie westchnienie — pomyślałam że to w rzeczy samej śmiesznie, że Juliusz chciał naśladować sławne gondole weneckie, a potem wymawiałam sobie że to śmieszném znajduję co on dla mnie z taką pracą zbudował.

Wróciłyśmy do pałacu, przechodząc przez mały bawialny pokój zatrzymała się Sidonia przed dużém stojącym zwierciadłem, poprawiała pelerynki, spuściła obiema rękami stanika po każdéj stronie, i widziałam wyraz zadowolenienia na jéj twarzy. Moja babka zawsze mi powiadała, że nigdy przypatrywać się sobie nie trzeba, i ja tak się tego strzegłam, że tylko przy ubraniu kiedy tego konieczna była potrzeba patrzała w zwierciadło, zraziło to mój niewinny, i tak święto hodowany umysł, że Sidonia z taką

przyjemnością sobie się przypatruje, ale w drugiej zaraz chwili, jednym rzutem oka porównałam siebie z nią, i pomyślałam że jej to wolno bo ma się na co patrzeć; twarz jej była blada, ściągła, delikatna, niezmiernie zajmująca, ja zaś miałam żywe, mocne kolory, na okrągłej mojej twarzy; włosy jej związane były na wysokim grzebieniu, odebrane na loki przez sam środek głowy, a gładkie, przezroczyście, duże loki zaczynające się na czole, delikatnie i zgrabnie ułożone aż do szyi dostawały, a ja miałam włosy związane na okrągły warkocz, na loki odebrane nad samem czolem, po każdej stronie po kilka grubych małych loczków, które mi do uszu nie dochodziły. Sidonia miała suknię z grubej i pięknej materyi, jasnego koloru lila, a ja bardzo kosztowną, jedną z najpiękniejszych moich sukien, którą w Niedzielę tylko nosiłam, z cienkiego i drogiego szafirowego tibetu. Sidonia miała

spodek ramion zachwycający, odznaczał go stanik jęj sukni, i to samo wrażenie zostawało patrząc się dalej a dalej na niego, leżał albowiem jak ulany na wysmukłej jęj figurze, niezmiernie długi kończył się szerokim jasnym paskiem ze wstążki który otaczał nadzwyczajną cienkość, zupełną okrągłość stanu — ja miałam ramiona wysokie, stanik przykrywał je zupełnie, i wznosił się do góry, krótki namarszczony na przodzie kończył się paskiem takim jak suknia zapiętym na haftki z tyłu, byłam płaska, i gruba. — Spodnica jęj sukni zaczynała się na przodzie od małego fałdu, dalej fałdowana w coraz większe potrójne, niezmiernie szeroka zdawała się Sidonia w nięj ginąć, a dosyc ciężka unosiła się wspaniale — moja zaś była dosć wązka, miała na około drobne fałdeczki, a u dołu obszyta była trzema aksamitnemi plisami. Sidonia zarzuconą miała lekką, przezro-

czystą, blondynową pelerynkę, która nie zakrywała białego jęj karku, śnieżnej i wyniosłej szyi — ja zaś miałam pleć zdrową, śniadą jak Bóg dał, i okryta byłam jak zawsze w dnie chłodniejsze bardzo piękną tyftkową karmazynową chustką w deseń ciągły. — Patrzałam się na nią i na siebie, zapytywałam się ze smutkiem i zawsze z tym samém ubóstwa uczuciem, co Sidonia robić może żeby być tak zgrabną, cienką, okrągłą, elegancką i miłą?

Dali nam znać że kawa na stole, wróciliśmy do bawialnego pokoju, pan Mignard pospieszył ku drzwiom, naprzeciwko Sidonii, która wtedy wyjęła zaraz rękę swoją z moich, zaczął z nią mówić od razu na wstępie, podał jęj krzesło i sam usiadł przy niej; ja zawsze co wieczór od czasu jak Juliusza nie było, przy mojej babce siadałam, — dzisiaj usiadłam przy Sidonii, słuchałam jak zaczęty przy stole spór z pa-

nem Jaśkiewiczem toczyła teraz dalej z panem Mignard, pan Jaśkiewicz wtrącał także czasem słowo, a słuchał z wielką uwagą, siedząc trochę w tyle pomiędzy krzesłami Sidonii i pana Mignard. Sidonia coraz więcej myśli rozwijała, popierając zawsze zdanie trafniemi wyrażeniami, a ja myślałam że dużo się uczyłam, dobrze się uczyłam, chwalili wszyscy moją pojętność, a tak od jej rozumu daleką jestem, bo tego co od niej słyszę, nie potrafiłabym nigdy powiedzieć; mówiła po francuzku bez żadnego zająknienia, niezmiernie płynnie, wymowę miała prześliczną. Pan Mignard sadził się mówiąc do niej, nigdy pierwój nie słyszałam żeby tak wyrazów dobierał, zupełnie inaczej mówił do Sidonii jak zawsze do nas wszystkich. — Pan Jerzy w drugim rogu pokoju mówił z xiędzem proboszczem, wioska jedna z dóbr jego należała do parafii do Zasławic, a pani Jerzowa bawiła

moją babkę opowiadaniem szczegółów o koronacyi, która przed kilkoma miesiącami w Warszawie się odbyła — opowiadała nie bardzo wyraźnie, powtarzała się, to znów długo sobie przypominała, przerwała w środku anegdotę która miała być bardzo zabawna, ale której moja babka już od półgodziny słuchała i nie mogąc się końca dowiedzieć, wezwała pomocy Sidonii. Ta, dopiero za trzeciem zawołaniem odwróciła się do niej, patrzyła na nią opierając się jeszcze lepiej na krześle, a jak usłyszała o co rzecz idzie, i w końcu słowa: »Mnie się zdało że to tak było? Czy to tak Sidonio?« Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się szydersko. »Ale gdzie tam rzekła! ktoś też o podobnej rzeczy słyszał! Jak też można tak szczególnie wszystko przekręcić! to tak było« — i opowiedziała bardzo dowcipnie zabawną, ale bardzo złośliwą anegdotę. Wszyscyśmy się śmiali, bo niepo-

dobna się było nie śmiać, także pani Jerzowa śmiała się serdecznie. Oprócz tej opowiadała Sidonia kilka innych anegdot, pani Jerzowa po kilka razy przypominała jej, że nie tak było, ale inaczej, lecz Sidonia nic na nią nie zważała i nieprzerywała wcale mowy, wyszydziła kilka osób nie miłosiernie, a ja wtenczas ze smutkiem myślałam o tem że świat bardzo trudny, i że jest niepodobieństwem taką być jak Sidonia która od tylu rozumniejszą być musi, kiedy ich tak gani. Jak odszedł xiądz proboszcz pan Jerzy przysunął się do nas, oparty o poręcz próżnego krzesła, słuchał uważnie Sidonii, śmiał się, a ona szczególnie do niego mowę obracała, do niego się odwoływała o potwierdzenie; a gdy co zaczął mówić, przestawała natychmiast, i słuchała go z uwagą. Pani Jerzowa patrzyła się z upodobaniem raz na męża, drugi raz na siostrzenicę, uśmiechała się, a

gdy czasem słówko wtrącić chciała, nie uważali na to zupełnie, mąż ją zagadywał, zamilkła, i znów się uśmiechała. Dzieci państwa Jerzów hałasowały bardzo wieczór w drugim pokoju, matka wychodziła po kilka razy do nich, bała się żeby się mojej babce nie naprzykrzyły, nie mogła sobie rady dać z niemi, i zawołała Sidoonii na pomoc, ja poszłam za nią. — Jak tylko przyszłą spojrzała się na nich surowo, wyłajała mocno najstarszą dziewczynkę, przelękły się, i natychmiast uspokoiły. Rozeszliśmy się dosyć już późno — moja babka kilka razy przez wieczór serdecznie się uśmieiała. Rozbierając się, mówiłyśmy o przybyłych gościach, była wesola, powiadała mi żeby była zaraz pana Jerzego poznała, nic się albowiem nie odmienił, że jej niezmiernie miło go widzieć, że jest człowiek rozumny i uczony, ja jej znów powiadałam, że go pokochała od razu,

że tak mnie czule witał, że mi się twarz i cała postawa jego bardzo podobała. Siedziałyśmy tak bardzo długo przed gotownią mojej babki — widać, żal miała do samej siebie że mi tak mało dotąd o Stryju moim mówiła, opowiadała mi dużo o nim, i różne szczegóły dowodzące szlachetność charakteru, i bystrości rozumu. Potem pomówiłyśmy o pani Jerzowej, powiedziałyśmy obie to samo że ładna, dobra, grzeczna uprzejma, że ją nie można nie kochać. O Sidonii nie powiedziałyśmy słowa; był to dowód że się mojej babce wcale nie podobała, ja zaś niemogłam pierwsza o niej przemówić, i kontenta byłam że nie przyszło do tego. Pierwszy raz w życiu położyłam się z przykrem uczuciem. Już jedno miłe marzenie moje, dzień ten zniszczył zupełnie. W wiliją o tej samej godzinie układałam sobie z taką radością, że nieszczęśliwą, i osierociałą Sidonią ko-

chać i pielęgnować będę. Dzisiaj myślałam żem prawdziwie zbyt dziecinną była, i czułam jak się za to rumienię. Smutek, tęsknota ogarnęła moje serce, myślałam że na świecie jest jeszcze szczęście zupełnie inne od mojego, szczęście którego nigdy nie doznałam, że tyle jest rzeczy o których wyobrażenia nie mam, światło które dopiero dziś spostrzegłam, od którego niezmiernie jestem daleka. Myślałam o tém ale bardzo fałszywie, zdawało mi się bowiem iż dosyć umiem, że coraz więcej postępuję w naukach, bo pan Jaskiewicz i pan Mignard codzien mnie widzą, a nigdy ze mną nie rozumują, do Sidonii zaś o tylu rzeczach mówić mieli, i tak nią zajęci byli — To samo i Juliusz, miałam go zawsze za tak uczonego, jednak to co z nim mówili łatwo rozumiałam, a rozmowy z Sidonią długo pojąć nie mogłam! — Tak mi było jakbym sobie samej

od razu obcą się stała, jak gdybym widziała konieczność oderwania od siebie miłych myśli, uczuć rozkosznych.

Państwo Jerzowie wyjechali nazajutrz. Moja babka na usilne ich prośby obiecała chętnie przyjechać do nich za tydzień na dni kilka. — Odjechali — ale mnie mój smutek, moja tęsknota, obcość dla samej siebie już nie odstąpiła. Byłam zamysłona i mimowolnie niecierpliwiłam się sama w sobie, kiedy moja babka sciskając mnie, pytała mi się wesoło. »O czémże tak myśli moja Krystynichna?« Czułam niezmierną ciekawość, żądzę, poznania tego co dotąd zakrytém zupełnie przedemną było. Bolało mnie, koreciło okrutnie, że jest coś we mnie o czém moja babka nie wie, ale nie powiedziała bym jój tego nigdy, niezrozumiała by mnie, niemogła by mi właśnie to dać czego ja żądałam, nie potrafiła by ze mną mówić jak ja tego chciałam. Co by

mówiła byłoby właśnie przeciwne myśłom moim, już nie moja rzecz zupełnie!.....

A cierpiałam niewymownie nad tém że zupełnie jest obcą, jest przeszkodą do tego o czém ja myślę! Myślałam z szczególnym smutkiem, z uczuciem serca osierociałego o Juliuszku! o tém że tak matkę kocha! tak moją babkę poważa! że ona tak go kocha, że się tak czule Kochamy! że taki doskonały, tak mi było jak gdybym koniecznie musiała z lubą pożegnać się myśla.

Pojechaliśmy do państwa Jerzów. — Pan Jaśkiewicz, pan Mignard byli z nami, wystrojeni, wyświeżeni, bardzo się im spieszyło wyjechać.



mówią. Wszakże przeczynę wiesz
 moją, że nie mógł być zupełnie.....
 A chociażby niewymownie nad tem że
 zupełnie jest obra, jest przekroczył do tego
 o czym ja myślę! Wysłalam z asyzyjskim
 amantem, a wzmianka serce oszczepnego
 o Juliansku! o tem że tak matkę Kocha!
 tak moja matka poważyła! że ona tak go
 Kocha, że się tak czule kochamy! że taki
 doznał, tak mi było jak gdybym ko-
 niecznie musiała w łóżku poogrand się wysła-
 Potrzebujemy do państwa Jozow.
 Pan Jaskiewicz, pan Mignard byli w nami-
 wysłano, wywieżeni, bardo się im spie-
 czyło wyjechać.





V.

Jeszcze Sidonia.

U państwa Jerzów pełno było gości. — Była to zupełnie rzecz nowa, osobliwa dla mnie, wejść do pokoju rześisto oświeconego, (bo już był wieczór jakieśmy przyjechali) i w nim zastać kilkanaście dam wystrojonych, a więcej jeszcze mężczyzn. — Gdybym jak przed tygodniem jedynie zajęta była szczęściem mojem, cała dla Juliusza i dla mojej babki, z rozkosznym uczuciem w głębi serca, a więc swobodna, pewna siebie, niedbająca o rzeczy potoczne, o oklaski, o! jakże bym była szczę-

śliwie zdziwiona, niewinnie ciekawa takiej nowości! Ale już to nie było dla mnie, nic nie widziałam tylko Sidonią. W blado żółtej sukni, z dużą piwonią, w jasnych włosach, siedziała w pośród liczного grona mężczyzn; blada jej twarz powlekła się delikatnym różowym rumieńcem z zapалу z jakim mówiła, małe żywe oczy niepewnego koloru obracały się na wszystkie strony jakby migające światło, jak siedziała zdawała się z niechcienia zawieszona w krześle, była zachwycająca. — Wlepiłam w nią oczy, oddawałam jej hołd tak należny, i uczułam się najniezwyklejszą, bom widziała że nigdy — nigdy do tego nie dojdę czém ona jest. — Wstała, ukloniła się mojej babce, a gdym ja się do niej przysunęła podała mi rękę, nie przerywając rozmowy z młodym mężczyzną opartym o poręcz jej krzesła, i nie patrząc na mnie powiedziała mi »dobry dzień kuzyneczko.« Przeciwnie przywitała

się jak z dawnymi znajomymi z panem Mignard i Jaśkiewiczem; państwo Jerzowie oboje bardzo zajęci byli moją babką, pełni attencyj, uszanowania dla niej, zaprowadzili ją do drugiego pokoju cieplejszego, wygodniejszego, gdzie miejsce dla niej było przygotowane, poważniejsze osoby przeszły za niemi, prezentowali jęj wszystkich, moja babka poznała kilku znajomych swoich, była kontenta — wesoła. Ja zaś siedziałam przy niej w zupełném milczeniu, pozornie odurzona widokiem tylu osób, prawdziwie zajęta zupełnie Sidonią, i rozpaczającą myślą, że nigdy do niej nie będę podobną. Pani Jerzowa chcąc mnie ośmielić zawołała Emilkę młodą sierotę wychowanicę swoją, jak tylko herbatę nalewać skończyła, powiedziała jęj żeby mnie do drugiego pokoju zaprowadziła, i z młodemi osobami poznała. Wzięła mnie za rękę, miła i ładna panienka w białej sukience

muszlinowej w kropki przepasanej różową wstążką, i zaprowadziła do drugiego pokoju, do stolika przy którym kilka młodych osób siedziało, podała mi stółek, mówiła grzecznie i miło do mnie i do nich, tak że bym ja im odpowiadała, a ja ani słowa wymówić nie mogłam. Przypisując moją nieśmiałość temu że pomiędzy obcemi jestem, powiedziała mi z dobrocią. »Może panna Krystynka woli przy swojej kuzynce usiąść?« podziękowałam jej teraz szczerze, trafiła do mego życzenia — podała mi stółek przy Sidonii — która mnie na mnie nie zważała. — Usiadłam. Słuchałam z nadzwyczajną uwagą, na każde słowo co z ust jej wychodziło rozpacz mnie brała, bom coraz bardziej przekonaną się stawała, że nigdy nie nabędę tego bystrego rozumu, że tych zdań przekonywających, które tak łatwo, tak dobitnie z ust jej wychodziły nie potrafiłabym nigdy ułożyć, że tak daleko jestem od tej miłości

śmiałości zupełnie pewnej siebie, a nie przekraczającej wskazanego obrębu, bo Sidonia śmiałą była, ale nic w niej nie raziło, a ja czułam jak to rzecz trudna. Mówili do niej »xiężniczko« to tak mile brzmiało, ten tytuł był rodzajem hołdu, który każdy szczęśliwym był oddawania jój tym sposobem, a mnie tak nikt nigdy nazywać nie będzie! Bo do mnie nikt nie mówił! nikt mnie nie uważał, nawet pan Jaśkiewicz i pan Mignard, którzy także byli w gronie otaczających Sidonią.

Dzieci moich stryjostwa przybiegły prosić Sidonią o ciasteczka, które na stoliku w rogu za jój stolikiem stały, i do których nikt dostać nie mógł. Sięgnęła zgrabną i białą ręką, ale dostać talerza nie mogła, kilka rąk rzuciło się żeby jój go podać, podziękowała uśmiechem, dała dziewczynie bułeczkę, a chłopczykowi ciasteczko lukrowane, dzieci nauczone były ją słu-

chać, bo dziewczynka odeszła nie powiedziawszy słowa, a Sidonia spojrzała się po wszystkich z znaczącym uśmiechem. Zrozumiany był jej uśmiech, i jeden pan powiedział, że popełniła niesprawiedliwość. Sidonia to przyznała, ale dodała, że tę niesprawiedliwość właśnie przez sprawiedliwość popełniła, aby upokorzyć zepsute dziecko którego kaprysom dogadzają, potem zaraz aby puścić w zapomnienie co niebacznie o rodzinie wuja powiedziała, z nadzwyczajną zręcznością wyliczać zaczęła, co pod tym wyrazem *zepsute dziecię* rozumie, dodając że to jest rodzaj istot do których ma urazę: że w tej kategorii mieszczą się stworzenia, które w wygody życia zawsze opływały, pod opieką były całe życie, które nigdy w istotnych i ważnych rzeczach woli, ani zdania nie mają, a w drobnych wszyscy im ustępować muszą, że takimi gardzić trzeba, i karać ich sownie

za usypiający stan w jakim dusza ich i ciało zostaje, że takie istoty woli, stałości charakteru, zdrowego zdania nigdy nie mają, nigdy rady sobie nie dadzą, trzeba ich za rękę prowadzić. Głębokie zaczęło być o tym rozumowanie, pan Jaśkiewicz i pan Mignard równego byli z Sidonią zdania! Ja zaś byłam najnieszczęśliwsza. — Wszak Sidonia moją historią opowiadała, ja zawsze we wszystkie wygody życia opływałam, łagodnego, miłego obejścia doznawałam! moja babka tyle razy zawsze prawie życzeniom moim dogadzała! Ja więc za to wskazana jestem na pogardę, na odrazę ludzi! Ja dla tego oprzeć się nikomu nie potrafię! niewiem o tém a ze mną co chcą robią, przeszłam myślą całe życie moje, i stanęłam na tém że w zamęzcium mojem, w najważniejszej epoce, nie miałam żadnego głosu, szłam za wolą mojej babki, pani Jabłonowskiej, za po-

pędem serca a popęd serca mimowolny, to więc słabość charakteru.

Gdy w tój rozpacz, w tój męce byłam, przejęły nagle rokosznie myśl i serce moje słowa, które z drugiego pokoju usłyszałam »młody Jabłonowski« ruch i szmer się zrobił którego przyczynę odgadłam z radością, serce mi bić przyjemniej zaczęło, ożyłam, zwróciłam całą uwagę na to co w drugim pokoju mówiono, bom się zaraz domyśliła że się przypatrują obrazowi roboty Juliusza, który mojej babce na imieniny ofiarował. Kiedy państwo Jerzowie byli w Zaslavicach, pan Szlubowski zawiózł go był do Lublina aby go w ramy osadzić, ale pan Jerzy słyszał był o nim, i moja babka obiecała że mu go przywiezie. Byłam znów zupełnie szczęśliwa. Ten obraz był arcydziełem Juliusza, zrobił go w Rzymie, na wystawie w Florencyi zyskał wielkie pochwały, Xiążę jeden prosił

za łaskę aby mu go pozwolono przez trzy dni mieć u siebie, chciał go kupić, ale Juliusz sprzedać go nie chciał, bo go już mojej babce przeznaczył. Wystawiał kobietę pletącą sobie włosy przed zwierciadłem, nieraz po godzinach stałam przed komodą mojej babki, na której był oparty, i wpatrywałam się w niego, nie można się było napatrzeć wyrazowi niewinnej i naturalnej kokieteryi, z jaką młoda dziewczyna plotąca sobie warkocz wpatrywała się w zwierciadło, chciwa widzieć czy jej do twarzy? Pan Jerzy wyszedł z drugiego pokoju trzymając go w ręku. Serce mi biło z radości, i z wzruszenia jakby przed sądem. Zarumieniłam się. Przystąpił do Sidonii: »Patrzaj wołał z zapalem, patrzaj Sidonio co to za pędzel prześliczny! Nadzwyczajny talent ma ten młody Jabłonowski! a jak szlachetnie robi, że tak korzysta z niego!« i z uniesieniem opowiedział

przytomnym biografią tego obrazu, i uśmiechnął się do mnie — O jakże ja szczęśliwą byłam! ale nie spuszczałam z oka Sidonii. Przypatrywała się obrazowi, a wraz z nią nachylały się nad niego wyperfumowane głowy, przytrzymywały go bladożółte i białe rękawiczki — »Doskonale zrobione« »w samej rzeczy piękna robota« było słychać przez kilka minut. »Wrzeczy samej, rzekła Sidonia do pana Jerzego z przywilajającym się i przyznawającym uśmiechem, jest to piękne, bardzo piękne« stryj wyniósł znów obraz do drugiego pokoju żeby mu się jeszcze przypatrywać, a wtenczas Sidonia odwróciła się do jednego z mężczyzn którzy na około niej siedzieli i powiedziała dobitnie z szyderskim uśmiechem: »Jak jestem nieszczęśliwa, że nie umiem jeszcze unosić się nad dziełami tych artystów, które wożą z domu do domu, nieumiem jeszcze porównywać ich do Ra-

faęła, ale może też i potrafię się nauczyć samą wprawą bo ich tak wiele. Artysta! artysta! nic nie ma piękniejszego! nic lepszego — Nie bierze pana ochota być artystą? i zaczęła się śmiać serdecznie.«

O! nie, nie pnę się do takich wielkich rzeczy odpowiedział złośliwym, cichym i serdecznym śmiechem.

Artysta! powtarzała Sidonia! tytuł niebardzo powabny! a ręczę panu że takiemu się zdaje że świat zadziwi, i zemści się za pogardę której nieraz pewno doznał.

Bolesć śmiertelna wskrós mnie całą przeszła, pot zimny na mnie uderzył, a potem twarz moja rozogniła się i rozczerniała, byłabym chciała porąbać, popsuć wszystkie Juliusza obrazy, i powiedzieć: on nigdy nie malował, on nie jest artystą.— Coraz głębszą zasłonę widziałam pomiędzy sobą a światłem, wszyscy z którymi dotąd żyłam, moja babka, pani Jabłonowska,

nic nie wiedzą, nic nie znają, są nierozumne, w prostocie swojej wynoszą pod niebiosy, co tylko śmiechu godne. — Nie wiem jak przebyłam resztę wieczoru, ale wiem że byłam najnieszczęśliwszą przez te trzy dni, które bawiliśmy u państwa Jerzów. Na nikogo uważać nie mogłam tylko na jedną Sidonią, chodziłam ciągle za nią, wciskałam się żeby przy niej siedzieć, słyszałam zdania, myśli, które jedne od drugich, każde więcej mnie przerażały. Mało do mnie mówiła, obchodziła się jak z dzieckiem, dumnie i z niemilą opieką. Drugiego dnia przyjechała na obiad jakaś niewidoma pani z sąsiedztwa z córką już nie młodą, otyłą, dosyć brzydką, i ubogo ubraną, ta córka na krok nie odstępowała matki, krajała jej przy stole, prowadziła ją przez pokój, moja babka okazywała dla niej prawdziwe uwielbienie, powtórzyła mi ze łzami w oczach co jej pani Jerzowa powiedziała, że odmó-

wiła korzystne zamęcie aby nie odstępować matki, rozrzewniłam się, ale w wieczór Sidonia która to słyszała szepnęła półgłosem do jednej pani »czy i pani już hold oddała cnotom téj zajmującej Antygony! dawno mnie nic tak nie bawiło jak ta skromna i naturalna mina przy stole z tym ogromnym obrębem« ta pani serdecznie śmiać się zaczęła, — a Sidonia powiedziała głośniej obracając się do mężczyzn którzy przy niej siedzieli »przedstawmy temu artyście którego obraz aż tutaj przywieźli i bić nam przed niem czołem kazali, aby ją odmalował, i posłał na wszystkie części świata na wystawę, pod tytułem: »obraz nowój Antygony.« Wszyscy się śmiać zaczęli, a ja czułam w sobie nędzę i poniżenie okropne. Jednej Sidonii tylko wierzyłam, jój zdanie wszystko dla mnie rozstrzygało.

Moja babka polubiła bardzo Emilkę,

która tak się starała jój dogadzać, przynosiła jój stołeczek pod nogi, robiła i nalewała jój kawę, dla mnie taka grzeczna była, »niema ona wiele rozumu Krystynichno« powiedziała mi moja babka »ale jakież to miłe, grzeczne dobre stworzenie« I ja czułam skłonność do kochania jój, ale to uczucie zamieniło się w pogardę, bom spostrzegła, że Sidonia nie zważa wcale na nią, wymaga od niej grzeczności, a nie oddaje jój żadnej, i kiedy raz chwalono że Emilia ładna, powiedziała na to, że niczém tak się nie brzydzi jak pokojowemi i szafareczkami.

Trzeciego dnia, przed wieczorem przyjechał jakiś pan hrabia Rodzeński, był piękny i młody. — Już przy obiedzie była o nim mowa, powiadano że przed trzema miesiącami wrócił z Włoch i Paryża. — Jak przyjechał, ledwo że się uklonił państwu Jerzom, nikomu zaś więcej, i natych-

miast usiadł przy Sidonii, to jest położył się na stolku, i z nią jedynie mówił. Słuchała go uważnie, przerywając go tylko czasem zapytaniem. Mówił o dworze w Paryżu, o balach i wspaniałych ucztach na których bywał u książąt i wielkich panów we Florencyi, w Neapolu i w Rzymie, wymieniał znakomitych osób nazwiska z którymi żył w przyjaźni, opowiadał z zapałem o sławnej włoszce kochance Byrona, u której codzień bywał, a ja myślałam że Juliusz o tym nigdy mi nie mówił, on na żadnym balu nie był, wielkich panów nie znał wcale, bywał tylko u rodaków, i u artystów, professorów, znał sławne gmachy, galerye obrazów, ciekawości. Tutaj więc byłby wyśmiany! poniżony! serce mi się krajało!

Ale jedno z najdotkliwszych cierpień moich było, że nie byłam szczera z moją babką! Myśli moje inno zupełnie były od tych

które u mnie znała, serce które błogiem uczuciem napełnioném być mieniła, było na torturze — a zachowywałam z nią powierzchowność taką jak zawsze — nie pojęłaby mnie, mówiła by do mnie błędnie, przeciwnie memu przekonaniu, coby mnie tylko do niecierpliwości przyprowadzało. Całowałam ją w rękę bez uczucia w sercu, mówiłam do niej, a tym czasem myśl moja czém inném była zajęta. — Pierwszego wieczora, gdyśmy do naszego pokoju przyszły, powiedziała mi: »słyszałaś Krystynichno jak się unosili nad malowaniem drogiego naszego Juliuszka, pan Jerzy który się zna doskonale, powiada, że on stanie w równym rzędzie z najslawniejszymi artystami w świecie. Będziemy mu też mieli co opowiadać jak powróci! Nieprawda Krystynichno? i uściskała mnie ze łzami radości. — O Sidonio! jakże okropne męki mi przygotowałaś!

O! jeszcze gorzej! sto razy gorzej było w Zasławicach. Tu nie miałam celu uwagi, nie robiłam coraz nowego odkrycia których umysł mój już tak potrzebował! Tu sama byłam z moją babką, pomiędzy staremi naszymi sługami, musiałam przed nią i przed niemi mieć się pilnie na baczności. Rozmyślałam nad tém com z ust Sidonii słyszała, i przekonywałam się zrozpaczą że wszystko co mi dotąd miłym było muszę zrobić obcém dla siebie, dla tego aby poznać to światło którego mi się dopiero iskiereki pokazały, a które chciwa byłam poznać kosztem całego mego szczęścia !.....

Odebrałyśmy listy od pani Jabłonowskiej, i od Juliusza — Oparłam się gwałtownie uczuciom, które się do serca mego wciskały — byłam twarda jak żelazo — miałam wolą.

W tydzień potem przypadają imieniny

pani Jerzowej moja babka obiecała im się na ten dzień, wiedziała że to cenić będą umieli.

Jak tylko my wysiedli i przed domem się witali szukałam jej oczami, ani przed domem, ani w pokoju jej nie było, już tak mi jej było potrzeba, że truchlałam czy jej wcale niema, nieśmiałam się zapytać, kiedy pani Jerzowa powiedziała że słaba, i leży w łóżku. Uczucie lube, miłe memu sercu ciągnęło mnie bym w pokoju została, i przy mojej babce usiadła; zgnębiłam go, powiedziałam sobie że zostać byłoby działać jak dziecko pieszczone. — I poszłam do Sidonii!....

Leżała w łóżku, straszny był nieporządek koło niej i w całym pokoju, kołdra i poszewka brudna i podarta, na dwóch stolkach stósy graci, strzępki różowej, niebieskiej gazy, sztucznych kwiatów porzucane wszędzie. Zraziło mnie to nie-

zmiernie, — mnie, przyzwyczajonej do tak wykwiutnego porządku, ale połajałam się zaraz za to, i powiedziałam sobie że lepiej nie dbać o to, bo porządek jest tylko pieśczożliwą wygodą. Sidonia przyjęła mnie grzecznie i miło, czytała gdy przyszałam, i schowała książkę pod koldrę, prosiła mnie żeby na iej łóźku siadła, innego mijsca nie było.

»Ale wstaniesz jutro, zapytałam się jėj na imieniny stryjenki?«

»To jutro imieniny pani Jerzowej?« powiedziała przeciągając słowo.

Jakto! niewiedziałaś? zapytałam się zdziwiona.

»Niewiedziałam« odpowiddziała obojętnie i z uśmiechem, a ja się zawstydzilałam żem tak przyzwyczaiona obchodzić imieniny, że tak szczęśliwą byłam w dzień ostatnich moich imienin.

Czytałaś kiedy ja przyszałam?

Czytałam, odpowiedziała z dwuznacznym uśmiechem zasłaniając całą ręką miejsce gdzie leżała książka. Cóż czytałaś? rzekłam, przerażona tęp poruszeniem ręki które urągało mojej żądzy poznania rzeczy zakrytych przedemną, i wyciągnęłam rękę po książkę, gwałtowne namiętności które mną miotały dawały mi śmiałość nadzwyczajną.

»O! rzekła Sidonia znów z szyderskim uśmiechem, bardzo piękną, bardzo mądrą, bardzo prawdziwą książkę, ale ty jej nie możesz widzieć, jest zakazana dla ciebie,« i z przed oczów moich wzięła książkę i schowała ją pod siebie.

Ogarnęła mnie rozpacz. — Uczułam się tak poniżoną, tak nieszczęśliwą, miałam przed oczami to światło którego tyle pragnęłam, ale ta która mi go wykryć mogła nie sądziła mnie godną poznania go — Dla czegoż ma być zakazana dla mnie,?

zawołałam z boleścią, bo te słowa tylko wyrzec mogłam, powiedziałam je wstrzymując gorzkie łzy.

Oto rzekła łaskawiej Sidonia »bo idziesz za mężem.«

»I dla czegoż zapytałam się z goryczą, ma być książka zakazana dla mnie, kiedy idę za mężem?«

Bo ta książka »rzekła z rodzajem uniesienia, i mówiąc sama do siebie, ta książka mówi o wolności, o władzy rozumu i woli, o tém szczęściu! tém prawdziwem szczęściu! uczy sądzić o wszystkim według swego zdania, i naturalnie dodała z szyderskim uśmiechem, zakazana jest dla tych, co te lube kajdany przywdziać mają.«

O! zawołałam, szczęśliwa żem nareszcie schwytała sposobność dowiedzenia się, co tak dawno pragnęłam wiedzieć. »Jakież szczęście znać to!«

O! to jest szczęście »rzekła Sidonia tak

samo jak pierwój, to jedyném jest szczęściem, to jedynie czyni nam lżejszym ciężar życia!«

Ciężar życia! jakto! życie jest ciężarem! zawołałam mimowolnie, bo moje życie tak swobodnie, tak rozkosznie dotąd płynęło.

Czy życie jest ciężarem? odpowiedziała Sidonia poruszając głową z szyderskim uśmiechem »O! naturalnie! tego wiedzieć nie mogą zepsute i pieszczone dzieci które nic innego nie znają, jak swoje wygodki, i niepotrzebują niczego więcej.«

Uczułam teraz z radością, że i ja już goryczy doznałam, przez nią samą już byłam nieszczęśliwą, kontenta byłam że zawołać mogę: »o prawda! prawda! gorzkiem jest życie!«

»Tak jest!« odpowiedziała mówiąc znów sama do siebie, zepsute, pieszczone dzieci nigdy nie poznają światła prawdy, nie potrafią nigdy mieć swojej woli, rzą-

dzić się własnym rozumem, nie wiedzą jak doskonale świat z nich się śmieje, jak ich karze za wygodki i pieszczotki. Tak jest! Nigdy posiadać nie mogą tego co jest jedynem szczęściem. Ale co ci potem moja Krystyno, kiedy ty będziesz taka szczęśliwa! będziesz opływała we wszystko! będziesz mieszkała w pałacu! będziesz jadła tłuste kapłonki! przedziwne przysmaczki! Babcia cię będzie pieściła! pilnowała! o! taka będziesz szczęśliwa!

Rozpacz, wściekłość mną miotala. — Przez kilka chwil nie mogłam słowa przemówić. O! wina nigdy nie do darowania, zaparłam się szczęścia, które moja babka od kolebki mi dawała, zaparłam się że tak szczęśliwą przyszłość mi przygotowała. »Co! ja szczęśliwa!« rzekłam do Sidonii Ja najnieszczęśliwsza w świecie! o! nie śmieć się ze mnie moja Sidonio, nie śmieć się z nieszczęsnego sposobu w jakim mnie

wychowano, powiedz mi zlituj się nademną, powiedz mi co ty zrobiłaś, żeby być taką, jaką jesteś!

»Cóż ja ci mówić mogę, rzekła Sidonia kiedy idziesz za mąż.«

Miłość do Juliusza przewyższyła wszystkie uczucia w tej chwili, przeraziła mnie myśl okropna że już jego być nie mogę, wzdrygnęłam się, to ty nigdy za mąż nie pójdziesz? zawołałam.—

Za mąż! odpowiedziała, poddać się pod obce jarzmo, stać się dobrowolnie niewolnicą, stracić zdanie, rozum, wolę, sposobność myślenia, wszystko na świecie dla siebie zagrozić, dnie całe trawić nad drobnem, nudnem zatrudnieniem! to nie-szczęście! to poniżenie. Mnie się kilka partyj trafiało, ale ja nigdy nie chciałam. Panować nad wszystkimi władzą rozumu, żyć w świetnym blasku, a być go winnym jedynie swojemu umysłowi, a nie

pieniądzom, nie obcej opiece! jeździć po całym świecie zupełnie samą i niezależną, być wszędzie sławną! wszędzie panować, i zbierać oklaski! to dopiero szczęście!»

Byłam osłupiona, ale z głębi pograżenia zabłysła mi nagle luba nadzieja, dotknęłam co miałam najświętszego, pewna że w tém, tak samo myśli jak ja, »Sidonio« rzekłam śmiało, a jeżeli kto kocha, a starsi jego potwierdzają tę miłość, i życzą sobie zamężścia? Wszak oni nasze dobro lepiej znają jak my sami?»

Spodziewałam się pobożnego przyznania, zostałam piorunem rażona jak Sidonia na głos się rozśmiała. »Brawo, ! rzekła« widzę że doskonale umiesz katechizm, Ach! ja nieszczęśliwa nie umiem tych reguł. — Starsi! każą kochać! każą iść za mężem. Brawo! chwalebne posłuszeństwo!»

Zatrzymała się, a ja milczałam, i wpatrywałam się w nią. Starsi! to jednak prze-

dziwnie! mówiła dalej, najprzód sama do siebie, a potem patrząc się na mnie. »Jakże to być może, żeby inna osoba wiedziała lepiej odemnie samej, co dla mnie jest dobrem? któż może lepiej mnie znać jak ja siebie samą! o! czyż bym ja też ścierpiała, żeby mi kto przepisywał prawa, i kazał iść za męż! Jeżeli ja pójdę, to właśnie podług mojej tylko woli i własnego wyboru, a choćby mi wszyscy odradzali, będę się trzymała tego com sama sobie obrała. Czyż dla tego żem młoda ktoś starszy który tysiąc razy mniej ma odemnie rozumu ma nademną przewodzić, ma mnie prowadzić za rękę.—Kochać! słuchać starszych, rzekła znów parschnąwszy śmiechem, ja wiem że tyle, a nie dalej widzą zepsute i pieszczone dzieci! Cóż to jest kochać! słabość, głupstwo, prostota słabiej duszy bez woli, bez władzy rozumu!

Bez władzy rozumu! zawołałam okro-

pnie przerażona. — To z władzą rozumu nie można kochać? » O! nie! odpowiedziała z uśmiechem szyderskim, a potem twarz jej przybrała wyraz poważny, uroczysty. » Władza rozumu nie dopuszcza nigdy słabości ani zaślepienia, nie poddaje się niczemu, a kto tylko kocha, już nie jest niezależnym, bo już woli niema, a niezależność to skarb, szczęście jedyne. Władza rozumu, każdego ostro sędzi, nikogo kochać nie dozwala, nikomu wierzyć! «

Kiedy tak mówiła coraz straszliwsze było moje przerażenie, coraz okropniejsza moja rozpacz, każde jej słowo padało na moje serce, jak padają jedna po drugiej krople lodowatej wody na głowę obłąkanego. Każdą czuje, każda ból mu srogi sprawia, a walka uczuć moich straszliwsza była od walki życia z śmiercią. » Nikomu! nawet rodzicom, i tym co nas wychowują, i krewnym! «

» Nikomu — nikomu na świecie. — Cóż znaczą związki — dla czegoż mam ja koniecznie więcej kochać mego krewnego. Cóż za obowiązek. Cóż za konieczność. Człowiek sam jest dla siebie, niech wszystkich ostro sądzi, — niech każdemu sprawiedliwość oddaje, ale niech nikomu nie wierzy, dla tego nikogo kochać nie będzie. Smieszna by była rzecz do prawdy, żebym ja miała kogo kochać dla tego że jest moim krewnym. Niema żadnych obowiązków, żadnego związku kto ma władzę rozumu — tak działa, i czuje jak mu rozum, rozwaga dyktuje; jak powiada Bakon, najslawniejszy filozof angielski. — Słyszałaś kiedy o Bakonie? «

Szczęśliwa byłam że mogłam odpowiedzieć: » O! słyszałam « Bakona portret był w naszej bibliotece, i pan Jaśkiewicz nieraz mi powiadał że to był najslawniejszy filozof.

» Jak powiada Bakon, nauka, jest to możność « Kto ma naukę i władzę rozumu, ten jest prawdziwie moźnym, sam sobą kieruje, siebie wyżej od wszystkich ceni, od słabszych, krewnych, rodziców którzyby nad nim przewodzić chcieli, wyższy jest od fałszywego, i gminnego uprzedzenia że starszemu więcej jak sobie wierzyć powinien, a dla bliższych większe mieć przywiązanie, oddaje tylko to każdemu czego wart w istocie, zawsze ma swoją wolą, bo się wyżej postawi od wszystkich co go otaczają, albo co lepiej jest jeszcze, sam mieszka, sam żyje, aby był zawsze wolnym, moźnym, samym ! «

» Być zawsze samym ? « zawołałam przeżona ! wierzyłam w Sidonią jak w Boga, ale niemogłam pojąć odwyknienia od najmilszych moich zwyczajów. » Zawsze samą ! a w chorobie, jakaż by to okropna rzecz była być samą ! «

»W chorobie!« zawołała Sidonia parzając śmiechem »w chorobie!« A to prawdziwie myśl, i trwoga pieszczonogo dziecka. To się boisz żeby nie miał kto przy twojem łóżeczku siedzieć, lekarstwa podawać, cukierkami, pomarańczkami karmić. O kto ma moc duszy, i władzę rozumu, ten właśnie w chorobie, w przykrym stanie ciała lubi pokazać że o nic nie dba, że się bez wszystkich obejdzie, sam jest z sobą i z myślą swoją, a te starania drobne, gniewają go i nudzą, tak być powinno!«

Emilia przyszła po mnie na herbatę, wstałam czém prędzej żeby mnie nie zapraszała, żeby do niej nie mówiła. Słyszałam głos jej i Sidonii, ale nie mam wyobrażenia o czém mówiły. Schwyciłam słowo »wstanie« poszłam z nią, weszłam do bawialnego pokoju machinalnie, czułam że moja babka na mnie patrzy, ale jej nie widziałam, usiadłam na stolku który mi Emilia

podawała, połknęłam filiżankę herbaty którą przedemną postawiła, nie powiedziawszy słowa, a czując że jej dziękować powinienam, ile więc razy spojrzała na mnie przymuszałam wargi do uśmiechu. Nie rozbiebrałam moich myśli, czułam tylko w sobie uśpioną hydrę rozpaczy i wściekłości która się obudzi kiedy sama będę. Gdyśmy odeszły do siebie, moja babka, spodziewając się w krótkce pani Jabłonowskiej i Juliusza, coraz więcej lubiąca państwa Jerzów, była weselsza jak kiedykolwiek. Chciała się ze mną nacieszyć — nagadać — zaczęła najprzód o Juliuszu i jego matce; potem o stryjostwie, o ich dzieciach, o Emilii. Sta-
nęłam o podal od niej, udawałam że nie mogę odpiąć klamerki, schylałam się nad nią, odpowiadałam skinieniem głowy, lub kilkoma słowami kiedy koniecznie trzeba było. Wymknęłam się od niej, i uciekłam jak najprędzej do pokoju Budzińskiej gdzie

naumyślnie nadzwyczajnie długo się roz-
bierałam, żeby się moja babka tymczasem
położyła, i usnęła nim przyjdę, żeby jej
nie życzyć dobrej nocy jak codziennie, nie
ucałować jej. Nie ucałować jej! nie uści-
skać, co od czasu jak siebie zapamiętam
najroskoszniejszy dla nas obydwoh był
zwyczaj! długo usnąć nie mogła, we-
stchnęła kilka razy głęboko — gardziałam
na to moje serce....

Leżałam z otwartymi oczami przez noc
całą, ogień był na mojej twarzy, a serce
jak młot ciężki biło, rozpacz moja była
sztuczna, zbyt mocna, zbyt gwałtowna
żebym jej przed sobą samą wybuchnąć da-
ła, nie wylałam łzy, nie poruszyłam mu-
szkułem, leżałam jak martwa. — O mę-
ki! o cierpienia! przeklinałam siebie że
jeszcze czuję przywiązanie do mojej bab-
ki! do Juliusza! do jego matki! prze-
klinałam los mój że mi od kolebki pod

czułą opieką, w szczęściu żyć przeznaczył, obfitować we wszystko! że uczyniwszy mnie sierotą, niezostawił opuszczoną, swolną, samój sobie, nie dozwolił mi jak Sidonii samój się wykształcić, samój rządzić sobą, wyrzekałam na moją babkę że-ownie z takim staraniem i miłością wychowała, tak we wszystko opatrzyła, tak serdecznie kochała! tak o dalszym losie moim myślała! stały mi ciągle w myśli, brzmiały ciągle, w uszach okropne, przerażające maxymy Sidonii. Powtarzałam sobie z największą rozpaczą że powinnam wytępić z serca przywiązanie do mojej babki, do pani Jabłonowskiej, miłość do Juliusza, wykorzenie fałszywe zasady w których wychowaną byłam, przejąć się temi które słyszałam, bo te są jedynie prawdziwe, zapomnieć o szczęściu, być winną wszystko sobie, nauczyć się trudnej sztuki którą tak daleką od siebie widziałam, pa-

nowania przez siebie samą, porzucić, wzgardzić tém wszystkiém, co moja babka dla mnie przygotowała, nic nie mieć, wszystko opuścić, być wolną, niezależną, błakającą się po świecie, bo to jest sposób dojścia do sławy, do światła! do prawdy.! W takiej zabijającej walce przeżyłam noc całą, nazajutrz tak samo unikałam mojej babki, zachowywałam z nią powierzchowność żeby nie wzbudzić jój podejrzenia — z nią! com często w myśli mojej szukała, czy niemam co przed nią skrytego, bom zawsze chciała żeby mnie lepiej znała jak samą siebie, uciekałam do Sidonii, obchodziła się zemną jak litościwa opiekunka, w bawialnym pokoju zagadywała do mnie czasami, powierzała mi dowcipne swe uwagi o kilku osobach w towarzystwie, kazała swojej pannie odebrać mi włosy, zawinąć i zrobić loki, przymierzyła mi stary swój kapelusz, pani Jerzowa weszła na to, znalazła że mi

w nim bardzo ładnie, wzięła mnie więc za rękę i zaprowadziła przed moją babkę żeby mnie widziała. »Bardzo jój ładnie« do prawdy, »bardzo w tym ładnie mojej Krystynichnie« rzekła moja babka całując mnie, i z tą żywą radością którą twarz jój jaśniała gdy mnie chwalili »muszę jój taki sprawić« — »kiedy jój w niem tak dobrze« rzekła dobitnie Sidonia, to niech go sobie weźmie, dzisiaj zaraz, doprawdy weź go sobie; i ja przyjąłam nie chcąc miarkować wyrazu dumy który na wargach mojej babki zaostrzał, nieukontentowanie jój, które z przykrością ukryć usiłowała, żeby państwu Jerzom nieprzyjemności nie robić. — Przez cały dzień była dla mnie cokolwiek oziębłą, a ja wiedziałam jakie to zmartwienie dla niej, mnie oziębłość okazywać. Kiedym czasem co złego popelniła, najdotkliwszą dla mnie karą była jój oziębłość. Nie mogłam tego znosić — rzucałam się

jěj na szyję z płaczem, całowałam ją w ręce, w nogi — przepraszałam — dawała się natychmiast przebłagać, bo ja nigdy nie tak złego nie zrobiłam, aby na pokutę zasłużyć. Jakże mogłam! kiedym moją babkę więcej od siebie kochała! kiedy się tak bałam przed nią co ukryć! Kiedym otoczona była kochającemi mnie! Jak mnie już uściśkała taka była szczęśliwa! daleko weselsza jak przed gniewem, bawiła się, figlowała ze mną, kazała mi z szafki konfitur dostawać i jadłyśmy, tak jest, obchodziła przebaczenie swoje, pojednanie się nasze. O Sidonio! wyrugowałaś z serca mego niewinne i błogie uczucia! byłaś przyczyną że temu, które srogimi boleściami skołatane ja jedna zgoić umiałam, ja najbroźszą ranę zadałam !.....

W powrocie do Zasławic siedząc sama ze mną w karecie nic do mnie nie mówiła. Widziałam że chciała mieć wyraz oziębły

i obrażony, ale smutek, bolesne zdziwienie przebijało na jej twarzy. — Zimno było, kilka razy wyciągnęła rękę niby mnie okryć, obtulić, ale się wstrzymywała, i tylko ukradkiem, niby niechący, posuwała ku mnie futro i dużą chustkę, którą miałyśmy w karecie — potem niby wycierając szybę po mojej stronie próbowała ręką czy mi nie wieje. — A ja to wszystko widziałam! widziałam co cierpi; jakby mnie do serca przycisnąć rada! wsunięta w głąb karety z odwróconą od niej twarzą, milczałam — siedziałam nieporuszona — tłumiałam popęd serea, powtarzałam sobie z największą rozpaczą że powinnam stłumić w niem wszystkie rozkoszne uczucia, że powinno być oschłe, być jak kamień, być pod władzą rezumu.

Już o późnej godzinie stanęliśmy w Zasławicach, pan Jaśkiewicz i pan Mignard którzy nas kilkoma godzinami wyprzedzili, razem ze wszystkimi naszymi ludźmi

radośnie nas przed pałacem witali, moja babka rozweseliła się widząc dom swój i ludzi: »wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej mój Jaśkiewicz« rzekła wchodząc do bawialnego pokoju, i spojrzała się na mnie. spotkałam jej oczy, i zimna jak lód odwróciłam się natychmiast. — Westchnęła głęboko!

O dni okropne! dni nieszczęsne! Ciągłe tak byłam jak podczas drogi, widziałam moją babkę słabą, mizerną, smutną, widziałam że niczego nie pragnie jak mnie uściskać i ucałować, a unikałam jej, nie mówiłam do niej słowa, powtarzając ciągle że wszystko cobym zrobiła jak dawniej, cobym robiła przyjemnego sobie, jest to samo jak żebym w przepaść wpadała.

Czwartego dnia, przyszedł posłaniec z listem, był do mnie — pismo Sidonii — porwałam go chciwie i ledwom go otworzyła, pierwszy raz przemówiłam do mojej

babki: »Niech mi babcia każe zaprzędz, ja muszę, muszę jechać.«

»Jechać! Co ty gadasz Krystynichno!«

»Muszę — moja babciu — tylko proszę. — Muszę jechać do stryjostwa.«

Ale Krystynichno! (mówiła tak łagodnie i smutno) Juleczek z matką przyjeżdżają pojutrze i szlub twój będzie za tydzień.

Moja babciu — połykałam łzy które cisnęły się z oczów moich na widok mojej babki bladej i smutnej, na wspomnienie o Juliuszu i jego matce — »moja babciu, muszę koniecznie jechać umarłabym, umarłabym, gdybym nie jechała« »Dobrze to ci zaprzędz każe« — Zadzwonila, rozkazała, i wpatrzyła się we mnie. —

O! ja ją rozumiałam, — ja wiedziałam czego się spodziewała, ale się odwróciłam i powiedziałam: »To ja zaraz pójde rzeczy moje zapakować, i teraz trzeba jeszcze do

karjolki zaprządz, żebym jechała do zwierzyńca i wzięła sobie kilka sukien i szalów.

»Ze zwierzyńca chcesz brać suknie! — Krystynichno! Teraz będziesz w tych sukniach chodziła które są w pałacyku! przecież one nie są dla panny Krystyny, rzekła z uśmiechem, ale dla mojej kochanej pani Juliuszkowej.«

»Muszę, muszę, wołałam — tłumiąc mocne serca bicie; muszę koniecznie te suknie nosić. Dla czegoż tak mają leżeć napróżno?«

Wyszłam — wołałam żeby zaprzęgano, żeby tłumok przynoszono — ludzie usługując mi patrzyli się przerażeni — pytali się jedni drugich co to znaczy. — Budzińska odebrała rozkaz jechania ze mną, płakała co tu pani bez niej zrobi. Zajechała karjolka, moja babka wsiadła w milczeniu, ja za nią i pojechałyśmy do pałacyku. Oddała mi drżącą ręką klucze od szaf, klucze którymi się tak cieszyła, że je w dzień szluby

uroczyście mi odda! Chodziła za mną, patrzyła się z daleka jak ja odwrócona żeby jej nie widzieć, wszystkie szafy otwierałam, jak przewracałam rzeczy które tak starannie własną ręką dla mnie ułożyła, patrzyła się jak zabrałam suknie, pelerynki, czepeczki, koronki, zawinęłam w prześcieradło i wzięłam z sobą — spojrzała się w szafę, westchnęła, i zamknęła ją. — Wróciłyśmy do Zasławic w zupełném milczeniu. Już karetą zaprzężona stała przed pałacem. Wołałam żeby z pakowaniem się spieszyli. Tkałam w kufer wszystkie rzeczy które tak troskliwie dla mnie zebrała! Jak już wszystko było gotowe, ubrałam się czém prędzej na drogę, nie mówiąc słowa do mojej babki. — Wyszła przed pałac. — Było mocne zimno. — Obejrzała mnie zniecacka, dała znak Budzeńskiej żeby mnie lepiej okryła. Uściskała tę starą sługę która ją za nogi ścisnęła, a ja stałam na wschodach

niewzruszona. Gdy już powóz przed sam pałac zajęchał, Jan otworzył drzwiczki, i stopień odsunął — spojrzałam się na moją babkę, i zobaczyłam dwie łzy, które z każdego oka, po bladój jej twarzy spływały. Wtedy jakby od furyj ścigana, rzuciłam się do karety i krzyknęłam przeraźliwie na Marcina żeby jechał prędko.



v.

Moja Babka.

Przyjechałam do państwa Jerzów z rozpaczą w sercu, z ogniem na twarzy. Myślałam ciągle o mojej babce o łzach jej, o tém co z nią dzieć się musi, o pani Jabłonowskiej, o Juliuszu, a gwałtem te myśli lubo wypędzałam z siebie, powtarzałam sobie że to pieszczota, słabość, dzieciństwo; że powinnam być mężną, odrzucić wszystko od siebie, znieść wesoło oziębłe obejście się obcych mi osób, przejąć się zupełnie Sidonią, uczyć się od niej, nabierać władzy rozumu, stać się najniezwyklejszą

ale poznać prawdę. — Pierwszą noc prze-
byłam sama bez mojej babki! O taką tęs-
knotę do niej czułam, tak mi brak było
jej opieki, jej czuwania — oka zmrużyć
nie mogłam, sciskałam pięści, wbijałam
paznogie w ciało żeby nie wybuchnąć. —
Nazajutrz i dni następujących ze złością na
siebie, z wewnętrznem drżeniem, ubierałam
się po dwa razy na dzień, coraz winną
z sukien wyprawnych, drżąc cała kładłam
z rana czepeczek w który mnie moja babka
do Juliuszka stroić miała, a to dla tego
żebym mogła Sidonią zadziwić; przypatry-
wała mi się przymrużając oczy: »Jaka pa-
radna suknia! jaki wspaniały czepek! ale jak
źle zrobiony! zabawny!« i tysiące słów podob-
nych. Ja nic nie jadłam, nic nie spałam, czułam
ciągle ogień na twarzy, zimny dreszcz w ca-
łym ciele. — Pan Jerzy zajęty był interes-
sami. Pani Jerzowa dziećmi i gośćmi, było
albowiem kilka paé z dziećmi u niej, Si-

donia ich nie bawiła, ciągle była ze mną— chodziłam za nią, siedziałam z nią w jej pokoju, słuchałam zdań jej okropnych z rozdartém sercem, z skołataną duszą, bom co raz bardziej utwierdzona była w mniemaniu że dotąd żyła w zupełnym błędzie, i że wszystko co mi jest drogiem opuścić muszę! Ciekawa byłam niezmiernie słyszeć o jej dzieciństwie i wychowaniu. — Zapytałam się jej czy pamięta rodziców?

»Nie pamiętam wcale« odpowiedziała obojętnie, »byłam bardzo mała kiedy umarli.«

I kto cię wtenczas wziął do siebie?

»Nikt mnie do siebie nie wziął« odpowiedziała drwiącym tonem, a ja się zarumieniłam, i zadrżałam z trwogi i wstydu; »ja mam szczęście nikomu nic nie być winną, po śmierci rodziców utrzymywano mnie z własnego mego majątku, mieszkałam w Wilnie.«

Przyciskałam serce—mnie tak zawsze

rozkosznie było myśleć że mam wszystko od mojej babki, że życie moje w jej życiu płynie — a to trzeba się nie zależną zrobić, nic od niej nie przyjmować — nic jej nie być winną. Tak jest! mówiła dalej Sidonia to prawdziwe szczęście nikomu nic nie być winną, nigdy nic nie brać od nikogo, w ten czas dopiero prawdziwie mogę się nazywać wolną; nie mogę pojąć tego jak można dary od kogo przyjmować, jak można żyć, przyjmując co od kogo.

Rozpacz moja była okropna, ale myśl nowa mi nagle zajaśniała, nieśmiałam jej wyrazić, ale patrzyłam się na Sidonią.

Zrozumiała mnie, rzekła z uśmiechem: kiedy mieszkam w Wilnie lub w Warszawie z państwem Jerzami, najmuję sobie przy nich dwa pokoje, o stół dla służącej ułożyłam się z niemi, o mój nie warto bo ja prawie nic nie jem. Nie chcieli na to przy-

stać, ale ja inaczej być przy nich nie chcia-
łam, żeby mieć zupełną wolność.«

Stłumiłam westchnienie. — Ale nie da-
wno jesteś u stryjowstwa? spytałam się
udając zupełną obojętność. »Od dwóch lat.«

I dzieckiem będąc »zawołałam także
mieszkałaś sama?«

»Byłam na pensyi przez kilka lat w Wil-
nie, a potem jak tu u państwa Jerzów, tak
tam przy jednej z moich ciotek xiężnie C.

»Ale kiedy się uczyłaś rzekłam z ro-
spaczającą śmiałością, w ten czas byłaś pod
dozorem?«

»O wcale nie, odpowiedziała: wcale
nie« a potem z drwiącym dodała uśmiechem,
»Ja nigdy pod dozorem nie byłam, nie
poddawałam się nigdy pod dozór, bo któż
lepiej może wiedzieć co dla mnie jest do-
brém, jak ja sama. Ja nigdy o sobie ra-
chónku nie zdawałam nikomu, umiałam się
zawsze sama prowadzić. Ach! ten tylko

to cenić umie, kto miał szczęście od dzieciństwa być przy obcych, kto nie miał potrzeby nikomu się zwierzać! nikomu dziękować! «

Gdym tego dnia w wieczór do mego pokoju przyszła, patrzyłam się na wszystkie rzeczy co od najmniejszego dzieciństwa moimi były, jak na cudzą własność której używać nie powinnam. Zrzuciłam pościel którą mi Budzińska usłała jak codzień, zrzuciłam kołdrę z koziego puchu którą mnie moja babka codzień własną ręką przykrywała. Położyłam się tylko na materacu gościnnym!....

Sidonia bilecikiem swoim zaprosiła mnie na dwa dni, bo państwo Jerzowie, po tych dwóch dniach wyjeżdżali, i ona z nimi — wyjeżdżali na kilka tygodni, rozjechałam się więc z niemi, a gdym już do karety wsiadała przyjechał konny posłaniec od mojej babki, napisała długi list

do Budzińskiej pełen niespokojności o mnie, a do mnie słów kilka! pismo jej było zmienione, widać że ręka drżała! liścik do mnie był osobliwszy, nigdy do mnie nie pisała! nieumiała do mnie pisać! donosiła mi że pani Jabłonowska i Juliusz przyjechali!

Przyjechałam do Zaslawic, Budzińska wjeżdżając na dziedziniec wyglądała oknem, i okrzykiwała się radośnie. »Pan Juliusz stoi przed bramą! jak panienkę kocham! zawołała do mnie, a ja drżałam co raz bardziej, nim się powóz przybliżał — Juliusz stał przed bramą, otworzył sam drzwiczki, był tylko zdziwiony że ja odjechałam, chciał mnie ucieszyć! wziął moją rękę, przycisnął ją do serca, chciał mnie wysadzić, zanieść do pałacu! o Boże cóż się ze mną działo! Na widok jego którego tak kochałam już mu rękę ścisnąć chciałam ale okrutna dla samej siebie, zgnębiłam

najdroższe uczucie, powiedziałam sobie, że go nie mogę kochać, że go się muszę wyrzec, pokazałam mu twarz oziębłą i dumną, w chwili gdziebym go była rada do serca przycisnąć, odepchnęłam jego rękę, wyrwałam się od niego, i jak szalona biegłam przez garderobę do sypialnego pokoju, dręczona, bliska szaleństwa, rzuciłam się na kanapę. Moja babka przybiegła do mnie! przybiegła z rozłożonemi rękami, ze łzami w oczach, uściskać mnie! nacieszyć się ze mną po pierwszej w życiu niebytności! Taka była zmieniona.! Kochałam ją nad życie! kochałam ją więcej jak kiedykolwiek.! Jakbym była szczęśliwa przytulić się do jej serca! a gdy weszła do pokoju powstałam zimna, i serjo z kanapy.

»Krystynichno! (w patrywała się we mnie) Jak się ma moja Krystynichna?« i

»Zdrowa jestem babciu!«

»Ty nic nie wiesz Krystynichno, że

Juliuszek i jego matka tu są, nie odebrałaś pewno mego liściku; — już przyjechali na wasz ślub « (szukała wyrazu radości w mojej twarzy).

»Na mój ślub! O nie babciu, tego wcale nie będzie, ja nie chcę iść za mąż.«

»Krystynichno!«

»Tak jest moja babciu « mówiłam z najgwałtowniejszą duszy rozpaczą, i rozdarciem serca, ja prawdę mówię, nie chcę iść za mąż, i nie pojdę nigdy za mąż.«

»Nie chcesz Juliuszka.! Nie chcesz twego drogiego Juliuszka?«

Nie, nie chcę.... pana Jabłonowskiego, odmieniłam zdanie, nie chcę wcale iść za mąż. —

»Nigdy nie pójdziesz?«

»Nigdy! O nigdy!« O cóż się w mojem sercu działo. —

»Krystynichno! czy ty żartujesz? Nie urągaj twojej babce! rzekła poważnie.«

Przeraziłam się ale trwałam — trwałam mężnie w okropnych myślach moich, powiedziałam seryo: »nie żartuję.«

Patrzyła się długo na mnie. — Chciała wszystko w żart obrócić, chciała wesoło, dziecinnie umysł mój do lepszych zwrócić czasów.

»A pałacyk twój w zwierzyńcu! A twoje mebelki! A twoje koniki i karetka!«

»To nie moje, ja nic nie mam mego, ja nie mam nic własnego.«

Patrzyła się na mnie przerażona.

Tak jest! Ja niewezmę co nie jest mojem, — co mi dane. — Tylko to mieć można co się nikomu nie winno.

Krystynichno! czyś ty zwaryowała?

»O! nie zwaryowałam.«

»To nie chcesz Juliuszka! to go już nie kochasz«

»Nie chcę, nie chcę — wyrzekłam głośno. Serce moje mówiło, kocham go nad życie.«

»I dla czegoż go nie chcesz?«

»Bo« rzekłam z niecierpliwością »chcę być wolną, chcę być rządzoną władzą rozumu, mocą charakteru,..... ale mnie tu nikt nie zrozumie. — ja nie mogę mówić cobyś chciała.

Utopiła wzrok we mnie, oczy jej wyrażały trwogę.

Krystynichno! zmiłuj się nademną! Bądź taką jak zawsze! bądź szczęśliwą! O! niechże i ja nią będę. — Bądź rozsądna!

»O ja jestem rozsądna! zawołałam, bo według tego co za rozsądek miałam, drogo ten rozsądek okupywałam. — Ja właśnie jestem rozsądna. — Nie odmienię mego zdania, co teraz mówię, zawsze powiem, całe życie będę mówiła.«

»Jakże! To na prawdę mówisz! A jutro miały wyjść pierwsze wasze zapowiedzi. — Jużem kochanemu proboszczowi naszemu, dała na nie.«

Jutro zapowiedzi! O niechże Pan Bóg
 broni! Krzyczałam — Niechże Bóg broni!
 Niechcę — Bardzo proszę moja babciu, niech-
 że to nie będzie; zaraz poszlę, pójdę sama
 do xiędza, — chciałam biegnąć. Wstrzy-
 mała mnie. — I ona, i ja byłyśmy jakby
 wobląkaniu. Widziałam jak wjednej chwili
 gwałtowną wewnętrzną walkę odbyła, po-
 wiedziała mi spokojnie: »Dobrze, poszlę
 do niego, i zostawię cię samą, na myśl się,
 uspokój. — Do jutra Krystynichno! jutro
 rano pomówiemy jak dawniej.«

»O! nie jak dawniej!« wyrzekłam
 z rozpaczą. Już nigdy jak dawniej! już
 nigdy jak dawniej! Ale dobrze do jutra
 babciu! zawołałam spokojnie, bom się
 chciała pozbyć dręczącej rozmowy.

Wychodziła z pokoju — zawołałam za
 nią: »Tylko proszę moja babciu, niech tu
 dziś do mnie nikt nie przychodzi, niech ja
 sama będę.«

»Dobrze Krystynichno!« i westchnęła.

Zatrzymałam ją jeszcze — twarz mnie paliła, jak ogień, w ustach czułam oschłość i gorączkę: »Niech babcia przestrzeże zawczasu panią Jabłonowską i jej syna o tém co ja mówiłam, niech im babcia powie, że nie będę jego żoną.«

Westchnęła głęboko — odeszła pomału.

Ja się znów rzuciłam na kanapę, zamknęłam oczy znękane, — niewiem jak długo tak byłam, ale potem wstałam nagle, nowa mi myśl przyszła do głowy, przeszłam się kilka razy prędko po pokoju, pobiegłam do mego sekretarzu, wzięłam arkusz papieru, napisałam do Juliusza, zapisując mu cały mój majątek. —.....

Moja babka zajrzała cicho po kilka razy do mnie, gdym tylko jej kroki w drugim pokoju słyszała zamykałam oczy, udawałam że śpię.... Stała nademną, odchodziła na palcach.

Rzuciłam się na ziemię w starym szlafroku w gabinecie, położyłam się nim moja babka przyszła się położyć.

Słyszałam jak weszła — jak się Buzińskiej pytała na czém ja leżę, jak się patrzyła na mnie, jak nad dziecinnym łóżkiem mojem stała, potem jak wzdychała i niespokojnie się ruszała na łóżku. Ani ona, ani ja, niezmrużyłyśmy oka, i pewno tak samo Juliusz, i pani Jabłonowska.

Nazajutrz moja babka nie mi nie mówiła, ale się strwożona na mnie patrzyła. Była nadzwyczajnie zmieniona, powiedziała mi tylko że pani Jabłonowska i Juliusz przyjdą jak zwykle na śniadanie.

Posłałam w tedy prosić pana Jabłonowskiego, żeby o w pół do dziewiątej nim na śniadanie przyjdzie wszedł do bawialnego pokoju.

Wybiło w pół do dziewiątej. Poszłam

do bawialnego pokoju, — Juliusz stał oparty o komin.

— Nogi mi tak drżały gwałtownie, że mnie ledwo unieść zdołały — ćmiło mi się w oczach — szłam ku niemu — przyszedł na przeciwko mnie.

Patrzył się na mnie tak czule.

Wlepiłam mimowolnie oczy w tę twarz ukochaną, bladą, kochającą. — Kochałam go nad życie!..... Wziął moją rękę. — Ścisnęłam rękę jego — ale stanęły przedemną okropne maxymy Sidonii: »niemoże być wolnym, niemoże mieć władzy rozumu kto kocha« wyrwałam mu rękę....

Chciałam mu już podać zapis — ale gdym drugi raz wlepiła oczy w tę twarz szlachetną, wyrażającą takie zapomnienie, poświęcenie siebie — padłam przed nim na kolana: —

»Chciałam wszystko ci dać co mam — ale nie, to niegodne ciebie, — to nie jest

szczęściem dla ciebie — pokazałam mu zapis — i wrzuciłam go w ogień. — »Ale ja niemogę — niemogę być szczęśliwą — muszę być samą — być wolną — muszę muszę — niemogę być szczęśliwą, rozplakałam się z okropnym szlochaniem — i zaczęłam drżeć gwałtownie.«

»O Krystynko! zawołał — podniósł mnie. Toś myślała że ja mogę być szczęśliwym bez ciebie — zakrył twarz i na głos płakał. —

Drzwi się otworzyły, — moja babka i pani Jabłonowska weszły do pokoju. Przystąpiły do nas, pani Jabłonowska chciała mnie uściskać.

»Kochane dzieci! razem jesteście« — zawołała moja babka. — »Oni się najlepiej pomiędzy sobą zrozumieli — już są szczęśliwymi — Krystynichno! dam na zapowiedzi — pójdziemy wszyscy do Proboszcza.«

O nie! nie! wołałam z rozpaczą.

Twarz jój się zmieniła — zbladła.

»Krystynko!« zawołała głośno i uroczycie, — »zmiłuj się nad twoją babką! nie zabijaj mnie — pytam ci się, może już ostatni, ostatni raz co ci jest? To nic ode mnie przyjąć nie chcesz? To nie chcesz być żoną Juliusza?«

»Nie« — Krzyknęłam przeraźliwie. — »Nie« i patrzałam się na moją babkę, i widziałam jak twarz jej co raz bardziej bladła — jak życie w niej ustępowało — patrzałam się przerażona — padła bez czucia na ziemię.

Zapomniałam o wszystkiém — już nic innego nie czułam — nie widziałam — rzuciłam się na nią z wielkim krzykiem, w najokropniejszej rozpacz — »Nie żyje! zabiłam ją! zabiłam! wołałam. — Podniósł ją Juliusz, — zbiegli się wszyscy domowi, tarli ją — trzeźwili — nic nie pomagało — wyprężona — martwa — nie dawała znaku życia. — I tłukłam głową o ziemię — rwa-

łam włosy wrozpaczy. — Pani Jabłonowska zaczęła szlochać gwałtownie, słyszałam i szlochanie Juliusza; — wszyscy na głos płakali. — O chwilo okropna! pan Jaśkiewicz śmiertelnie blady, przybiegł, odepchnął wszystkich, przytchnął jej flaszeczkę do nosa, i do ust — kazał Budzińskiej rękaw rozedrzeć — puścił krew — poszła — czarna. O Boże! otworzyła oczy — przylepiona cała do niej krzyknęłam radośnie — wejrzałam do nieba — ale gdym się znów na nią patrzała, widziałam że te oczy otwarte są obłąkane, martwe oczy, że nic nie widzą, nikogo niepoznają, w słup patrzą, że twarz blada śmiertelnie. — Krew ścinała się w żyłach moich, nie miałam myśli żadnej, tylko uczucie ogromnego ciężaru — gwałtownej boleści. Pan Jaśkiewicz kazał ją na łóżko przenieść — szłam obok jak martwa, położył jej rękę na sercu — wziął za puls. O! wtedy z głębokości nieszczę-

ścia, złożyłam ręce, i przygotowana na wszystko, zawołałam: »czy żyje? czy może żyć?« — Patrzył się na mnie serjo i poważnie — »żyje! ale nie mam wielkiej nadziei!« wyrzekł, lecz będziemy ratować do ostatniej chwili! — W kradła się nadzieja w me serce, patrzyłam się z pociechą jak pan Jaśkiewicz pisał recepty, jak posłał po lekarstwa, potem pospuszczał franki — usiadł przy łóżku — rozkazywał a my wykonywali jego rozkazy — tarliśmy ręce i nogi bez ustanku — O dnie straszliwe! dnie nieszczęścia! stałam ciągle przy łóżku, oparta o poręcz, lub klęcząc z znużenia, nie mogłam na nic patrzeć tylko na nią, widziałam tylko przez oddech, że życie w niej nie ustało, że pan Jaśkiewicz usta jęj otwiera, i lekarstwa w nie wlewa. Nie potrzebowałam żadnego jedzenia ani napoju — czułam, wiedziałam że pani Jabłowska, Juliusz są ze mną przy łóżku,

ale ich nie widziałam. Oczy moje tylko moją babkę widziały — zmysły to słyszały co pan Jaśkiewicz mówił — nie modliłam się, nie podnosiłam oczów, ale najgłębszą myśl moją wznosiłam blagając do Boga!..

Czwartego dnia, była szosta w wieczór, staliśmy jak zawsze, — lampa pod ciemną zieloną kitajką postawiona na ziemi w drugim rogu pokoju, rzucała na łóżko ponure i ciemne światło, — pan Jaśkiewicz powstał z stołka, patrzył się długo na nią, nagle wziął ją za rękę, przeraził się — już po niej — już życie ustaje — ustaje. —

Stałam bez zmysłów — Budzińska padła na kolana i na głos płakać zaczęła.

»W jednym tylko nadzieja! w jednym! spróbuję — już nic nie ma do stracenia — może« i wybiegł z pokoju.

Pani Jabłonowska blada powstała z stołka, powlekła się do łóżka, i w patrywała się w nią składając ręce.

Wbiegł pan Jaskiewicz, trzymał flaszeczkę w ręku. Postawił Juliusza i mnie jedno przy drugim przy łóżku — w każdego z nas rękę włożył zimną mojej babki rękę. —

»Ten napój wróci wnią życie na chwilę, niechże w ten czas was widzi, was słyszy, was czuje, jak tego pragnęła. — Może w ten czas cudem, cudem!...«I drżącą ręką nalał z flaszeczki na łyżkę i wlał jęj w usta.

Odsunął się o dwa kroki — złożył ręce chude i spracowane — schylił nad nią czoło, wlepił w nią oczy.

Uczułam rozgrzewanie stopniowe ręki, nadzwyczajne poruszenie wzburzyło moje członki — wystąpiła czerwoność na twarz jęj bladą — otworzyła wygasłe i omdlałe oczy. —

»Mówcie do nięj« — rzekł cichym głosem pan Jaskiewicz.

» Babciu — droga babciu, ja kocham Juliuszka i będę jego żoną.«—

» Babciu, to moja Krystynka, — moja, zawsze moja! «

» Babciu! droga kochana babciu, będziemy mieszkali w Zwierzyńcu, będziemy tak szczęśliwi! Krystynka i ja, babciu! będziemy razem babcię kochali.«—

» Głośniej! niech was słyszy — Niech was widzi i czuje.«—

Złożyliśmy ręce nasze razem, i pomiędzy nimi trzymaliśmy jej ręce. —

Babciu! droga kochana babciu! babcia mi dała Juliuszka! ja go kocham, on będzie moim mężem! —

Babciu! — ja już tak babcię nazywam, bo Krystynka jest moją. —

Babciu! ja mam wszystko od babci — od ślubu będę chodzić w czépeczkach, — w szalach co mam od babci w Zwierzyńcu.

Babciu! my się tak kochamy! słyszy nas babcia.!

O niech babcia nas słyszy! niech na nas patrzy.!

O Boże! uśmiechnęła się. — Zawołała słabym głosem, »Krystynichno! Juliuszku, Helenko!« — Poznała nas.!

O Boże! — Padłam na kolana. — Padł i Juliusz przy mnie.

Krystynichno! Juliuszku! powiedziała drugi raz. —

Babciu — my się kochamy, tak jesteście my jak dawniej — zupełnie jak dawniej.

Jak dawniej — jak dawniej babciu Krystynka jest moja. — Tak się kochamy. —

Widzi nas babcia!

I całowaliśmy jej ręce. —

»O! moje dzieci! zawołała.

Płacze! Płacze! Będzie żyła — będzie zdrowa — wyrzekł pan Jaśkiewicz.

Wzniosłam ręce do nieba. — Zemdlałam ze szczęścia. —

Gdym przyszła do siebie zastałam się w drugim pokoju na rękach pani Jabłonowskiej — Juliusz trzymał drugą moją rękę na swoim sercu. Otoczyli mnie wszyscy — Powtarzali mi bezustannie że moja babka już zupełnie wyszła z niebezpieczeństwa, że za kilka miesięcy będzie zupełnie zdrowa, ale trzeba wielkiego starania, spokojności i cichości,

Gdym się uspokoiła, poszliśmy do niej wszyscy okrywaliśmy ją pieśczołami, pocałowaniem, obtuliliśmy ją, przykryli. — Klękaliśmy przy niej, ja w środku, Juliusz i matka jego po moim boku — trzymałam ich ręce na sercu. Opowiadaliśmy jej jak się będziemy kochali, jak będziemy szczęśliwi!

Patrzała się na nas z roskoszą. — Pysłała nam pocałowania, bo jej się ruszyło

nie było wolno', kazała nam powtarzać że się kochamy.—

Pokazywała mi żem mizerna, a Juliuszek jój powiadał jak mnie będzie pilnował.

Rozśmiała się patrząc jak Budzińska skoczyła na środku pokoju — kazała jój przyjść, i pocałowała ją w czoło.

Usnęła spokojnie i smaczno — a wyraz twarzy jój był tenże sam, jak kiedy nas po zwierzyńcu oprowadzała.

Kłęczeliśmy długo jeszcze nad nią. — Potém mnie Juliusz odsunął cichuteńko, i posadził mnie w krzesło.

Oparłam głowę w rękach. — Błogie, rokoszne roku tego chwile, szczęście, wesołość które po raz pierwszy w tym roku na mojej babce widziałam! dzień w którym nam zwierzyniec pokazała! W nim pani Jabłonowska i my! spacerzy z Juliuszem! Gondolka! rozmowy! nieograniczone, niepojęte szczęście które przeczuwałam! dom

nasz pełen wesołości, ruchu i życia. — Potém przyjazd państwa Jerzów i Sidonii: zdziwienie moje, zawiedzenie, obcość dla wszystkiego co mi lubém i drogiém było! Wszystko to stanęło w méj myśli. — Zaczęłam drżeć gwałtownie. — Uczułam że ktoś rękę moją bierze. Podniosłam głowę, Juliusz! mój anioł opiekuńczy klęczał przedemną! Odesłałem wszystkich, powiedział mi, wszyscy spocząć poszli, my będziemy tylko babci pilnowali, bo ty potrzebujesz samą być z nami, podniósł mój stołek i postawił go przy krześle matki, i znowu ukląkł przy mnie. —

Przytuliłam się do pani Jabłonowskiej, dałam rękę Juliuszowi, i opowiedziałam wszystko! wszystko! co się zemną działo! Gdym przyszła do téj okropnej rozmowy w której zdawało mi się że mnie Sidonia oświeciła, przeraziłam się znowu, rozpacz i trwoga mnie ogarnęła: »Czy ona prawdę

mówiła! zawołałam czy ja muszę pożegnać się ze szczęściem?

Juliusz całował mnie po rękach, czułam na nich lzy jego. — Pani Jabłonowska mnie wzięła w objęcie, i tym głosem spokojnym, łagodnym, tym głosem który pociechę w duszę wlewał, rzekła do mnie. Krystynko! dziecko moje! Jakżeś ty wiele cierpiała! Twój umysł świeży, niewinny, tak starannie i święcie hodowany, okropnie odebrał wrażenie! Chciwa nauki i światła, myślałaś że dla tego serca pozbywać się trzeba! z czułem sercem twoim tak potrzebującym kochać i być kochaną, światło mocne i stałe zdanie, władzę rozumu pogodzić można!...

— Można! Można! Doprawdy o Boże! zawołałam w uniesieniu radości.

»Można. O dziecko moje! Można! Potrzeba poznania światła i prawdy, jest żądzą wielkiej i wzniosłej duszy! Mieć władzę rozumu, jest

rozsądkiem, roztropnością, powinnością się rządzić—mieć wolę stałą i wytrwałość niezachwianą, oto wielkiego charakteru cecha, ale cóż znaczyć będą te przymioty jeżeli przy nich czułego i kochającego serca nie ma, jeżeli wykluczemy wszystkie uczucia z siebie, jeżeli nie będziemy kochali tych co nas kochają, jeżeli nie będziemy wdzięcznemi tym co nas obdarzają, co Bóg sam kazał, Bóg sam cnotą nazwał. — Czyż to władza rozumu? To oschłość, duma, i samolubstwo. — Przerażały cię te okropne maxymy, te straszliwe zdania, bo serce twoje pełne czucia i ognia, boś na to stworzona żebyś kochała i była kochaną. Jakże można mniemać że człowiek sam dla siebie żyje! i związków żadnych niepotrzebuje! Bóg sam drugich kochać nam kazał! Bóg sam wlał w serca nasze większą miłość dla tych co nam bliżsi. — Umieć się poświęcać dla drugich, zapomnieć zupełnie

o sobie kiedy tego potrzeba, o to szczer-
nie i chwalebnie, oto prawdziwa wielkość
duszy! oto co od początku świata ludzi
sławnymi, wielkimi robiło! Szczęściem jest
poświęcać się, szczęściem obdarzać, dawać!
uszcześliwiać! to szczęście rozumieją wiel-
kie, i wzniosłe dusze, i kiedy są darów
celem, nie odmawiają ich okrutnie, ale się
wdzięcznością przejmują, ten dług za-
ciągają aby ze swęj strony drugich obda-
rzać. Czuję mocno przytęm jak jest szczy-
tnie i rozkosznie samemu sobie być winnym
dużo, swojej pracy! Jeniuszowi! Nauce, i
umieją dla tego znosić trudy i samotność.
O Krystynko moja! Chciwa jesteś nauki i
światła! Byłaś w rozpaczcy bo ci powiada-
no, że o sercu przy nich zapomnąć trzeba.
Najsławniejsi filozofowie i mędracy, naj-
wznioślejsi poeci — których wszystkich dzie-
ła na wieki sławnemi będą, z których my
światło czerpamy, czyżby się byli wsła-

wili gdyby czucie gwałtowne, nie było toczyło ich piórem, nie uszlachetniło mądrość ich i naukę. Żeby zrobić wrażenie trzeba do duszy przemawiać a przemawiając do duszy trzeba czuć mocno! Tyś stworzona na to Krystynko, abys czuła prawdę tego sławnego słowa: *Nauka jest możność*: Nauka jest wszystkiem, jest skarbem, nauka nas w lepszy świat wynosi, czyni nas zawsze i wszędzie spokojniejszymi o siebie; jeżeli nam los w ubóstwie życie przeznaczył, nauka nam za wszystko stawia, odejmuje nam płocze upokorzenie, bo nie dopuszcza do nas próżności, bo nas w równi stawia z wielkimi i wzniosłymi, w związku z naturą, z jej tajnikami! Kobieta szanowna, prawdziwie uwielbienia godna, może, i powinna te sławne słowa do siebie zastósować, ale w szczytniejszym, wyższym, i większym zawodzie, jak żeby od dzieciństwa

samęj sobą rządzić, nie chcieć opieki, a potem jeździć po całym świecie, zachwycać płynną i gładką mową, sofistycznemi zdaniami, umieć zręcznie wyszydzić i wyśmiać każdego, wytchnąć w każdym co ma śmiesznego. — Mądra i sławna kobieta pani Staël powiedziała, że to nie jest znakiem że się ma za wiele rozumu, ale za mało, bo jeniusz im wyższy, tym doskonalszy i lepszy. — Kobieta wychowana pod czułym i kochającym dozorem, w zaciszu, w niewiadomości zdań i zwyczajów wielkiego świata, ale przytęm wychowana starannie, uczona, ma bliski związek z tym co prawdziwie wzniosłe i piękne, do świeżego i niewinnego jęj umysłu, prawda światła, nauka w tak właściwem świetle przylega. — Jakże jest z tęg miła że nie wie, iż więcej i lepiej umie od tęg co z wielkim obeznana światem, a potem jakże szczytne jest jęj powołanie: sławny

człowiek jeden powiedział: »że mężczyzna który ma żonę światłą i wzniosłego umysłu, posiada siebie podwójnie.« — Kochająca męża! umie cenić i rozumieć światłość i naukę jego — czuje się być z niem na równi, jedną duszę, jeden umysł, jedno serce mają, w zaciszu domowem, wspólnie, razem jednomyślnie pracują, pomaga mu do przysporzenia majątku, niepotrzebująca próżnych wydatków dogadzających miłości własnej, na użyteczne zakłady, na dobre uczynki obraca pieniądze, każda dnia jej chwila jest użyteczną pracą zapełniona. W ważnych życia okolicznościach mąż jej się radzi, jej zdania zasięga, ona go łagodnością, miłą mądrością na stałej utrzymuje drodze. Jakże wtedy potężna, można, kiedy mężowi zbawienną radę dać, może, ułatwić mu ważną pracę, przez to krajowi, współziomkom być użyteczną, wynieść tego który jej jest tak drogim, a

jeżeli Bóg dopuści, że jest nieszczęśliwym, że ci których chciał dobra, nie poznają się na nim: wtedy najszczytniejszym jest powołanie kobiety, która ceni i rozumie chęci i myśli jego, zawsze przy nim, dzieli jego niedolę wyższymi myślami, przykładami sławnymi, głęboką filozofią, utrzymuje go przy sile, aby nie słabnął duch jego! Oto jest możność nauki i męztwa, a podstawą tego jest serce, serce czule i kochające. Tyś na taki tryumf stworzona Krystynko, a nie na tryumf miłości własnej i próżności. Tyś stworzona abyś kochała i była kochaną, najdrobniejsze starania które trudu i niewczasu wymagają, są tak miłe do wypełnienia tym, którzy kochają, a takim jest serce czulej kobiety, że przy niepospolitym rozumie, przy głębokiej nauce, te starania utrudzające, są dla niej roskoszą. Tak Krystynko, możesz być razem światłą, możną, kochającą!

Słyszałaś jak na wielkim świecie talent wyśmiewano — jak dowcipnie i szydersko tytuł artysty roztrząsano! — O chociaż bez nadziei wyrównania mistrzom sztuki, cóż za rozkosz pracować ciągle w ich zawodzie, zatapiać się w ich dziełach, wznosić się coraz wyżej przez ciągle obcowanie z nimi przez wznoszenie myśli do Stwórcy, bo jenjusz i talent u Niego szukają natchnienia. — O! to jest rozkosz której nigdy nie będą czuli, ci którzy zepsuci światłem, nie znają zapału, a wesołością i szyderstwem lichem i pospolitem czynią co piękne i szczytne (Pani Staël). Objęła mnie dwoma rękami, i przycisnęła bliżej do siebie, a łzy jój na twarz moją padały. O! jak mówiła, słowa jój przenikały moje serce jakby krople łagodzącego balsamu. Juliusz trzymał ciągle moją rękę. Tuliłam się do nich jak do schronienia przeciwko

przeciwko zdaniom Sidonii. Uspokoili mnie, utulili. — Tak przebyliśmy noc całą.

Dnie mijały—Moja babka pomału, ale coraz znacznie przychodziła do zdrowia. Pilnowaliśmy ją pani Jabłonowska, Juliusz i ja. Najzbawienniejszém jój lekarstwem uspokajającym, uzdrawiającém jój serce były dowody zobopólnego naszego przywiązania, był wyraz szczęścia na mojej twarzy. Twarz jój rozjaśniała się w łóżku gdy patrzała, jak mnie Juliuszek wyręczał, jak mnie łąjał gdy się trudziła, jak się patrzył na mnie z miłością. On jój opowiedział co mnie było!

Po czterech miesiącach, w pięknym i ciepłym dniu majowym moja babka ubrana w szafirowym szlafroczk, w czepeczku z różową wstążką, w białym szalu, błogosławiła nam najprzód w domu, zawieźla nas do kościoła, a potém uroczyście, ze łzami radości w jasnych i białych oczach, wprowadziła nas do zwierzyńca!



VII.

Bez tytułu.

Państwo Jerzowie na dwa jeszcze miesiące przed moim szlubem odjechali do Litwy. Siedem lat ciągle bawili w samém Wilnie, i w dobrach swoich. Odbieraliśmy przez ten czas dosyć często od nich listy, i pani Jerzowa donosiła w jednym mojej babce, że Sidonia wraz z jedną ciotką swoją xiężną C. u której już dawniej mieszkała, na lat kilka za granicę wyjechała że ma być w Londynie i w Paryżu. Ósmy rok się zaczął od mego zameżcia, kiedy nam napisali że przyjeżdżają znów w nasze sąsiedz-

two, i z Sidonią z którą w Warszawie zjechać się mają. W kilka tygodni potem zjechał do naszego Zwierzyńca pan Jerzy, przyjechał niespodzianie. Juliuszek był w polu zeszedł mnie w jego malarni, pakowałam wielki obraz który właśnie ukończył do kaplicy w poznaniu, a ja z mojej strony kładłam w pakę mały dywanik, którym się poszczycić chciałam przed szanownym mężem, który u Juliusza obraz obstałował bo to był dywanik z fabryki nowo założonej u nas. Przywitałam się z radością z stryjem, przyprowadziłam mu moje dzieci!— W krótko przyszedł Juliusz z pola, a razem z nim przyjechały nasze babka i matka do nas na obiad. Zatrzymaliśmy stryja na noc, został się, ale pod warunkiem, żebyśmy następnego dnia do niego przyjechali. Ja się w tedy trochę zafrasowałam bo nie jeżdżąc nigdzie tylko z Zwierzyńca do Zasławic, nie wiedziałam jak się mam

ubrać. — Pojechałam na naradę do Zasławic. Moja babka i matka kazały mi włożyć biały muszlinowy szlafroczek, i czepeczek z różowemi wstążkami. Z Zasławic już prosto pojechaliśmy wszyscy razem poczwórną babci karetą do państwa Jerzów. Ledwom wysiadła ze stryjenką i z jej dziećmi się przywitała, spytałam o Sidonię, a gdybym się dowiedziała że w łóżku leży, poszłam natychmiast do niej. Chciałam niezmiernie wiedzieć czy też ona szczęśliwa: Przystąpiłam prędko do niej, ale gdy ją zobaczyła bladą, mizerną, żółtą nie śmiałam się jej spytać. Chciałam ją uściskać — podała mi rękę upuściła na łóżko małe zwierciadło, które trzymała w ręku gdy przyszła. Spytałam jej się: »Byłaś w Londynie Sidonio?«

Odpowiedziała mi cierpko »byłam« przeciągnęła się, ziewnęła i westchnęła kilka razy głęboko.

Wymówiłam sobie żem jój to zapytanie zrobiła, była to próżna ciekawość z mojej strony, a dla niej może przykrém wspomnieniem. Wyciągnęłam rękę do niej — spytałam się jój: »Tys słaba Sidonio?«

Nie uważała, czyli niechciała uważać ruchu méj ręki, nieruszyła swojej, odpowiedziała cierpko i z roztargnieniem. »Nie.«

Widziałam że czém inném myśl ma zajęta, wymówiłam znów sobie żem bardzo niedyskretna, a nie śmiałam odejść tak nagle.

Zadzwoiła — weszła panna służąca: »widzę, rzekła do niej z niecierpliwością, że on téj sukni nigdy nie przysze.

»A kto go wie, przoszę pani.«

Ale bo po co on dla téj głupiej pani Jerzowej robi, kiedy się dla mnie podjął — ten paskudziarz, nie będę miała sukni na wieczór — Czy jest już kto z gości?

Żal mi się jęj niczmiernie zrobiło. —
 Chciałam się gwałtem wcisnąć w jęj serce:
 »Nikogo niema, odpowiedziałam prędko prócz
 nas, i pocziwęj staręj pani kasztelano-
 węj—była to pocziwa w wieku osoba która
 od czterech lat w małej wiosce koło nas
 osiadła, i często w Zasławicach i u nas
 bywała, bardzo ją lubiłam i szacowałam.

Pocziwa! przednia jesteś! pocziwa.

Ale nie znasz jęj Sidonio, ona dopie-
 ro od czterech lat tu mieszka. — Jaka do-
 bra i pocziwa!

O! znam ją w Warszawie. — Wiem o
 kim mówisz, powiadają o nięj że jednęj
 xiężnie perły ukradła.

Co ty gadasz? O to nieprawda.

Ale tak jest — tak! i kiwała głową
 z szyderskim uśmiechem.

I pewno o tém wiesz? pewno?

Zarumieniła się cokolwiek. — Tak mi
 kilka osób mówiło.

— »O to nie może być prawda.«
Widziałas twoje kuzynki? — Panny Jerzowne? rzekła z przyciskiem.

— »Widziałam. — Zosia bardzo ładna. — Ale ta pani kasztelanowa, nie wierz temu Sidonio, to nieprawda strasznie mnie to martwi.«

— »Mniejsza o to, może i nieprawda. — Ale wracając się do panny Jerzownej, tutaj słynie za Wenerę z Medycys, może z niej się jeszcze zrobi Appollo Belweder-ski, a w rzeczy samej do sowy trochę podobna.«

Nic nie mogłam na to odpowiedzieć. Odwróciła się i splunęła — »Moja Krystynko, powiedziała z przyciskiem, żebyś ty odeszła, bo ja wstać muszę.«

Szłam pomału, i z spuszczoną głową do pokoju bawialnego. — Juliusz patrzył się na mnie niespokojny. — Uśmiechnęłam się do niego.

Dano obiad. — Sidonia nieprzychodziła. Nieśmiałam pytać się o nią. Po obiedzie zaczęli się zjeżdżać goście. — Nie byli prośzeni, ale spodziewani; znaną była bowiem powszechnie gościnność i uprzejmość pana Jerzego, i ledwie posłyszano o przyjeździe jego w te okolice, zjeżdżano się tłumem. Młodych mężczyzn było kilkunastu. Bawiło mnie to wszystko, bo ja zupełnie obcą byłam licznym zjazdom. Zapalono w salonie lampy wiszące, wniesiono świece — stół z herbatą — wybiło już wpół do dziewiątej. — Otworzyły się drzwi całe — szmer się zrobił powszechny — większa połowa osób podniosła się, kilka na stołeczki powchodziły. Weszła Sidonia — w czarnej atlasowej sukni z długim ogonem, przy krótkich rękawach, szeroka i gęsta falbana z czarnej koronki, z pod której jakby z pod firanki wychodziła śnieżna, utoczona ręka okryta złotem i z różowego szkła branso-

letkami; wspaniała czarna peleryna zawieszona na jednym ramieniu, przewieszona przez drugą rękę obwijała ją jakby obłokiem, występowała z pod niej biała i wyniosła szyja. Gdy tak weszła poważnym i lekkim krokiem, gdy przechodząc, nadobnym uśmiechem i skinieniem głowy, na której gładko uczesane włosy przytrzymane były złotym łańcuchem, witała wszystkich koło których przechodziła, здаowało się jakby z nadziemskich krain przybyła, żeby tu panować, albo jak precudowny sztych angielski, wzór zgrabności, elegancyi, wysmukłości. Mimowolnie ustępowali się gdy wchodziła, — przybliżyła się do nas, przywitała moją babkę z tą nadzwyczajną grzecznością, która tak niezmiernie ujmuje, kiedy doznana od uwielbianej w świecie osoby, prosiła mnie żebym ją mojej matce przedstawiła, żeby Juliusz mógł być jej przedstawionym. Usiadła przy nas, mówiła do

nas niezmiernie mile, grzecznic i uprzejmie, ale pomału odwracać się zaczęła, później odsuwać, a nareszcie jakby mimowolnie oddaliła się zupełnie na drugą stronę. Odczyło ją w jednej chwili grono wielbicieli. Zostawili ją w pośrodku siebie. Zaczęła mówić o krajach które widziała, o świetnych wieczorach na których bywała, wymieniała wielkie nazwiska, unosiła się nad wolnością kobiet nie zamężnych w Anglii, mieszając czasem dowcipne i szyderskie żarciki, a otaczający naprzemiany, słuchali ją chciwie, śmiali się serdecznie, spierali się z nią tak delikatnie, że widoczném było iż chcą tylko słuchać dalej. — Była w świetnym, w jaśniejącym blasku, — Oddałam i ja hołd jój należny — ale gdym słyszała jak zaraz za moim krzesłem Juliusz otoczony poważnymi mężczyznami, którzy go pomiędzy siebie wezwali, głęboko z nimi rozmawiał, a rozmawiał o

dziele które ja mu czytałam, podczas gdy malował powróciwszy z pola, gdym słyszała jak chciwie każdy zdania jego słuchał, potem kiedy nawet mój sześćioletni Zygmus oparł się cały o mnie, nachylił czoła, i swe duże niebieskie oczy wlepił w ojca, i tych co przy nim stali, a blond włosy jego całe moje kolana nakryły, kiedy pan Jerzy wniósł moją Marynię która w naszym pokoju spała, i nie mógł się nacałować jój okrągłej i rumianej jak jabłuszko buzi, pomyślałam z rokoszą: »Oto moja ozdoba!« Słowa przez cały wieczór przemówić nie mogłam, czułam się tak możną! tak wdzięczną Bogu.! Szczęśliwa byłam że nikt na mnie nie uważał, bom nie mogła wstrzymać żeby nie sciskać pokryjomu rąk babki mojej i matki, a kiedym na nie oczy podniosła i widziałam ich szczęście, łzy mimowolne po twarzy mej płynęły, i odmówiłam cichą modlitwę.

Nazajutrz, bośmy nie umieli inaczej, takeśmy byli nawykli, wstaliśmy Juliusz i ja o piątój, wszyscy jeszcze spali. — Czas był prześliczny, wyszliśmy przed dom na ganek, Juliuszek przeglądał plan fabryki cukru, o który pan Jerzy go prosił, aby mu swoje zdanie powiedział, a ja tymczasem pomału sobie z książką po ganku chodziłam. Wyszedł stryj do nas, bo w wilią ułożył się z Juliuszkiem że pojedą razem owczarnią zobaczyć, zajęchała właśnie karyolka. — »A! tak rano, moja pani« rzekł sciskając każdego z nas za rękę na dzień dobry — »to bardzo pięknie!« »Zawsze tak jest! odpowiedział mu Juliusz — zawsze tak rano razem ze mną wstaje! Ona mi cały majątek dała, a najwięcej mi pomaga do przysporzenia go, jest doradcą, sekretarzem, kassyerem, jest drugim mną. Ze swoich oszczędności założyła fabrykę dywanów, a we wszystkiem wspólnie, ra-

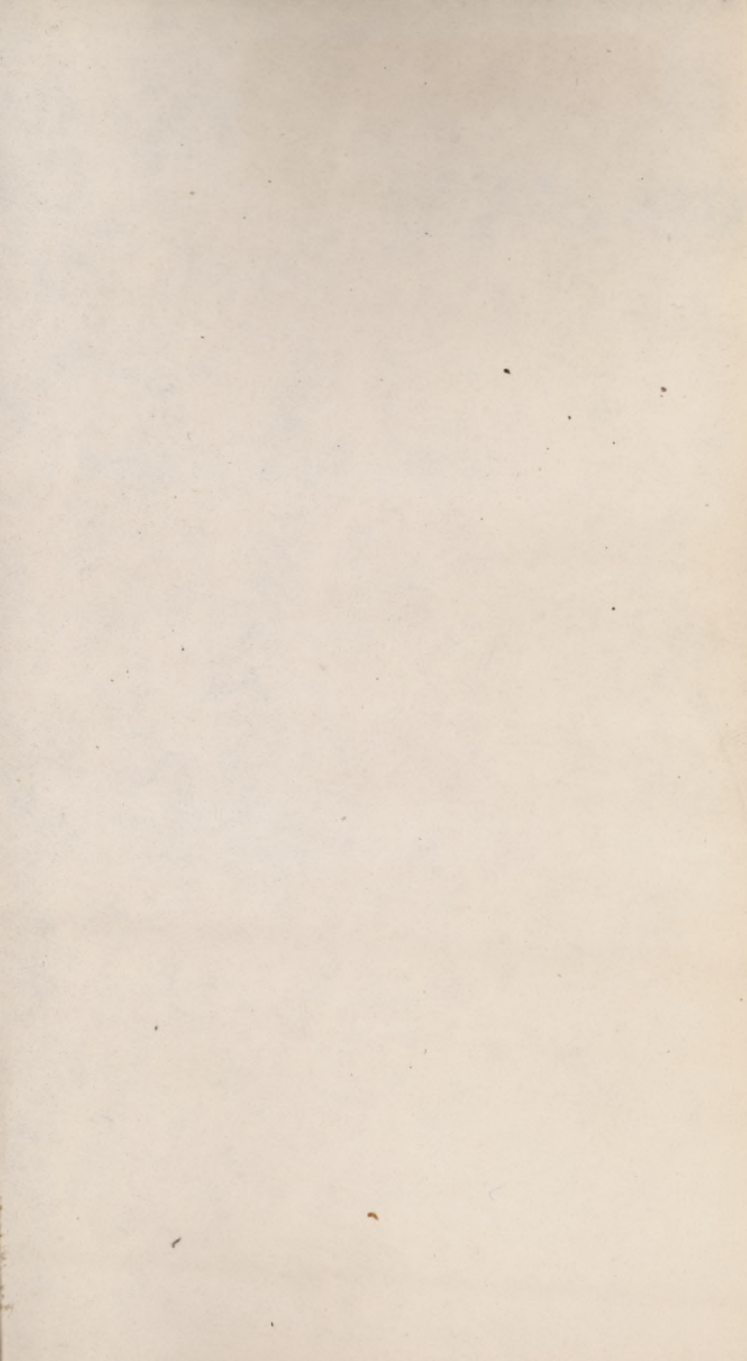
zem, jednomyślnie ze mną pracuje!« I zapął był w oczach jego — i przycisnął mnie do siebie. — Serce moje luba rokosz napełniła, nie mogłam znów słowa przemówić, pomyślałam »oto moje oklaski!« i podziękowałam z głębi duszy Bogu, — a pan Jerzy powinszował wzruszonym głosem Juliuszowi, i prosił nas obojga abyśmy razem z nim wsiedli, i owczarnie jego oglądać pojechali.

Koniec.



Znalezione na trakcie z Lublina do Warszawy
w okładce z różowego papieru.





KSIEGARNIA*

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH

BIBLIOTEKA

197133

Biblioteka WSP Kielce



0065529